

OPIEKUN DOMOWY

PISMO DLA RODZIN.

№ 19. Warszawa, dnia 1 (13) Maja 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY

W Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 6 k. „	rocznie . . .	rs. 8
półrocznie. .	„ 3 „ „	półrocznie .	„ 4 k. „
kwartalnie. .	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie .	„ 50	w Prusach „.	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Świat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12 w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

Na ziemi i na niebie.

(Fantazyja)

Do mnie wy gwiazdy marzeń! Wy skrzydlate słońca!
Ja pan—pieśni potęgą roztaczam krąg czarów—
Przybądźcie drogie echa snów złotych tysiąca!
Dajcie życie—zwaliskom wygasłych pożarów!

Wiaro! Twoich ja hymnów przywołuję echo.
Wiedzo! Twoje promienie wyzywam do walki.
Miłości! Twe uśmiechy niebieskiej westalki,
Twe ponęty, twe czary, nadzieje i blaski—
W jeden wieniec—potęgą czarnoksięzkiej laski
Zaplatam—bądź dla duszy mej łzą i pociechą.

Bracia! był czas żem tęsknił za gwiazdą niebiosów
Żem za światów przestrzenią szukał lepszej doli,
Żem chciał uciec od waszych łez, waszej niedoli,
W ręce marzeń oddając pasmo moich losów.
I po utartym szlaku poetyckiej jazdy
Rzucałem gromy słowa między zimne gwiazdy
Jak dziecię, które w księżyc wschodem zrumieniony
Rzuca piłkę... i czeka aż padnie strącony.

Wszyscyśmy jako dzieci wspólnej naszej matki..
U jej łona—do nieba wznosim sił ostatki,
Do nieba, które w głębi naszych serc urosło
Zanim się po za światy z nadzieją przeniosło,
Zanim, naszej istoty część unosząc z sobą,
Uleciało promienne—o Boże! wraz z Tobą!
I odtąd tam—nad światy wzrok wznosząc do Ciebie,
Za słabi i za mali by nie żądać cudów
Modlimy się wołając ustami drżącemi:
Ty coś myślą natury i uczuciem ludów
O Duchu wszechpotężny, który jesteś w niebie
Bądź i na ziemi!
. . . . . .
Jak tu gwarno — jak smutno! — Ludzie z twarzą [cementarną
W maskach szału migają jak cienie—
Nawet w ciszę mych myśli wbiegli nowi przybysze:
Karnawału śmiech i upojenie...
Jak tu duszno!— O myśli! Czy ty chcesz być po- [słuszną
Tej rozpaczy swawolnej—tak wcześnie?
Nie! ja zdala od gwaru chcę popłynąć jak fala
Jak głos szczery a wolny—choć we śnie!

I.

Biegłem w dal.—Jak sny nasze niedościgły w biegu
Biegłem tam—w kraj eteru, w kraj pieśni i wiary
Sam jeden, sam!—Spojrzałem w okół: w słońc sze- [regu
Wijącą wstęgą huczał kołowrót wieczności.
Przeszłość i przyszłość w jednej zatopione fali
Ścierały się jak w walce dwu światów bezmiary,
Ni tęczy! ni wysepki! Tam otchłań i dalej...
Gdzie spojrzę, zewsząd płynie gwar nieskończoności
Smuga ognistych komet ucieka ze drżeniem
W toń ciemną. A tam w dali, widzę światy nowe
Jak powstają, wszechmocnem ożywione tchnieniem
Wśród kolebki z błyskawic. Twe szaty godowe
Widzę Przedwieczny! Widzę gwiazd twoich dyjademy,
Berła gromów—i gniewu twego chmury krwawe—
Lecz gdzieżeś sam!? Dla czego świat ten duchem niemy?
O Ty! przed którym ludzkość klęka—pieśni łzawe
Za Tobą śle—gdzieżeś?—Próżno po przestworze
Błądzę myślą i sercem...gdzieżeś, gdzieżeś Boże!

Utopiłem wzrok w przestrzeń...gdy w tem— tam— [podemną
Szmer się ozwał daleki—przebiegł drogę ciemną
I z ziemi, aż tu do mnie dolatując, pytał:
Gdzie droga,
W tym światów grobie?
Boże! Syn ziemi puka
Do Ciebie
U wrót bezmiaru!
A gdy głos ten w przestrzenie niebieskie zawitał
I odbił się o gwiazdy, usłyszałem echo:
Trwoga
Na ziemskim globie...
Boże! syn ziemi puka
Do Ciebie
U wrót bezmiaru...
Ten głos dodał mi siły; ujrzałem z pociechą
Że i ja byłem cząstką milijonowych głosów,
Które z wieku w wiek biją o stropy niebiosów—
Więc błagałem: Zejdź do mnie! Strasznó być same- [mu
Gorącą pierś tu zimna roztrąci mi fala...
Cisza!—wokoło mnie cisza; sercu stęsknionemu
Tylko echo przeszłości odpowiada z dala
Gromem.
Panie! jam tu nie przyszedł gromów Twoich słuchać
Znam je—bo syny ziemi znają Twoje gromy;
Ja tu przyszedłem przejrzyć, biedny niewidomy....
Niewiem czy jesteś...ale mnie musisz wysłuchać!!

Czy to grom?
Nie, to głos—głos nieskończoności...
Boży dom, cały wstrząsł się o posadach z wieczności,
Myśl, tak myśl jasna, złota, przedziera się do mnie
Tchu!! Duch światów przemówił przytomnie.
To on! puście mnie gwiazdy!
Gdzie droga,
W tym światów grobie?
Boże! Syn ziemi puka
Do Ciebie...
„Kto Boga
Nie czuje w sobie
Niech go nie szuka
Na niebie."

Dziwna trwoga mi zdjęła serce... Chciałem wrócić—
Byłem sam, jak bez rosy kwiat wyrwany z ziemi.
Żal mi było serc waszych które miałem rzucić
Na zawsze—by się okryć chmurami zimnemi.
Zatęskniłem za ziemią porodą wiru światów!..
Żal mi było pól naszych, Wisły i tych kwiatów,
Którem zbierał w dzień szczęścia... dla ciebie, jedyna!
I tych nocy bezsennych skrzydlatych marzeniem,
I grobów ukochanych—gdzie wieków ruina
Duszę sieroty świętem karmiła wspomnieniem.

Żal mi było łez naszych, i nędzy, i bólu...
Jak żebrak do łachmanów przywykłem—O Królu
Światów! Niech się ma dusza na ziemi obudzi,
Weź sobie twoje niebo—wróć mi serca ludzi!

II.

Ciepłem tchnieniem wieczora owiany miłośnie,
Szukałem w twoich oczach uczuciem płomiennych
Odbicia snów tęczowych i nadziei sennych,
Szukałem iskry wiary z której wielkość rośnie.

I upojony czarem co w licu twem płonął
Zachodzącego słońca ożywiony łuną —
Nuciłem dla cię hymny drżącą uczuć struną
Gdy do stóp twych zachwytu przykuły mię dłonie.

Wietrzyk pieśnią zabity w gaju dogorywał —
A listkom szeleszczącym modlitwę wieczora
Swobodny ptak skrzydłami modłów nieprzerywał...

Tylko fala rzeczułki w miejscu niepogości
Wciąż nam pluska perłami—i usnąć nieskora
Spieszy w dal—jak nadzieje nasze w toń wieczności.

Przed chłodem do twej piersi przytuliłem głowę,
Do twej piersi gorącej wulkanów naturą —
A ty dłonią muskając włosy moje płowe
Ukazałeś na zorze, co gasło za górą —

Patrz! — mówiłaś, (a głos twój wciąż mi w duszy [dzwoni),
Patrz w ostatni błysk słońca: jak złoto, purpurę,
Rozsypuje po górach, po wód lśniącej toni,
Jak w płomienną sukienkę przyodziewa chmurę.
Wszystko zgaśnie za chwilę. Lecz jest Myśli Słońce
Takie jasne, tak czyste na wiedzy niebiosach
Widne w pracy milijonów, drżące w ludzkich głosach.

„Doń wyślij po promienie pragnień twoich gońce
Zaczerpnij pełną duszą światła—a w mem łonie
Znajdziesz ogień natchnienia co niegasnąc płonie.“

„I chociaż piorun myśli błąka się w bezmiarze,
Choć strudzony, wątpiący, duchem padniesz w ziemię
I zimnem słowem wzgardy przekleniesz ludzi plemię,
Do mnie spiesz—iskrę czucia w piersi twej rozżarzę,
Natchnę siłą—nektarem miłości napoję—
I pokażę jak w pieśni myśl z czuciem się splata,
I będziesz burzą w sobie—pokojem dla świata.“

„Wiedzy twojej promienie zabłysną uczuciem
I wniosą w ludzkie serca blask bożej jutrzenki,
Albo jak grom ku niebu rzucone z twej ręki
Roztrącą mgły przesądów śmiertelnem ukłuciem.“

„Ziemię i niebo jednem obejmiesz ramieniem,
Zbliżysz je; jak Bóg stworzysz nowe serce światu,
Które bić będzie hymnem pokoju—marzeniem
Że więcej serca z piersi nie wydrze brat bratu.“

Rozmarzony—jej dłonie chwytam w ręce moje,
Pocałunkami szczęścia do ust drżących cisnę
I na jej białej szyi jak dziecię zawisnę.
Nie! ja niechcę nad gwiazdy—co gwiazdom po pieśni?
Niechaj pieśń moja tętni gdzie ludzie cieleśni,
Gdzie się serce bezczuciem — myśl zwątpieniem [brudzi —
Dla ludzim ja zrodzony i umrę dla ludzi.
Ognisty snów rumaku, dosyć twojej jazdy,
Już od nowych idei niebiosa różane —
Niechaj kto chce od ziemi wzlatuje nad gwiazdy,
Ja tu zostanę...
Z uśmiechem miłości
Wysłuchała słów moich. Jej białe ramiona
Zamknęły świat przedemną. Na płonącem czole
Uczułem pocałunek. O! całej przyszłości,
Całego życia szczęście przeżyłem w tej chwili!
Przestałem czuć. Czy anioł boską aureolę
Kładł mi na skroń? Czyli ptaszyna spłoszona
Musnęła skrzydłem czoło? Niewiem: byłem w niebie!

Gdym spojrzał—już nie było i nieba i ciebie!...

O pieśni! Daj mi więcej takich chwil zachwytu!
O Boże! Coś miłością i wiedzą wszechbytu,
Daj mi w życiu osiągnąć kres marzeń daleki:
Myśleć, kochać—i czynem wznieść się ponad wieki.

* * *

Minął sen—i minęły lat długie godziny.
Ale nigdy już więcej o zachodnim zmroku
Nie widziałem cię gwiazdo młodzieńczych omamień,
Nie ujrzałem cię—serca fałszywy proroku!
Zginęły moje pieśni—a niestały czyny!
Próżno wołam: sny moje w rzeczywistość zamień,
Daj mi siłę, któraby słabe ludzkie dusze
Ogniem życia natchnęła w boleści i skrusze.
Próżno wołam... a jednak na dnie serca głębi
Czuję zapał, którego walka nie wyziębi
I słyszę głos—silniejszy, niż urok wawrzynu:
„Idź naprzód, przez różową mgłę marzeń—do czynu!“

Julijan Mohort.

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

Floryjan podgarnął włosy i zaczął chodzić po izdebce.

— Niezrozumiesz mnie — rzekł po niejakim czasie — chociażbym najjaśniej się wytłumaczył. U was prostaczków całe szczęście polega na tem, aby mieć dom!

— Ależ to nie dom! To dworek z ogrodem i kamienica w rynku! To fortuna!

— Dla was jest to fortuną, ale mnie to bynajmniej nie przestrasza. Dla mego talentu cały świat stoi otworem. Gdy mi się kilka koncertów poszczęści, to mogę kupić taką kamienicę, albo wziąść pannę ze wsi!

— Być może — ale jak prości ludzie mówią: lepszy wróbel w garści, niżeli kanarek na dachu!

— Ale cóż ja bym robił w tem miasteczku?

— Byłbyś między pierwszymi. Żyłbyś z domem starosty, chodziłbyś do prezesa sądu, do aptekarza i poczmistrza — o czem nasza rodzina nigdy nawet nie marzyła.

Roześmiał się artysta i wstrząsł długiemi włosami jak lew grzywą.

— Jesteście zbyt prości ludzie — odrzekł, jeżeli aptekarz i poczmistrz są u was wielkiemi figurami. Ja przecież w stolicy bywałem nieraz u księżnej, nie mówiąc już nic o hrabiach!

I zawróciwszy głowę do góry, przeszedł się kilka razy po ubogiej izdebce.

Siostra patrzała za nim z twarzą zarumienioną.

— Nie przeczę temu, rzekła z cicha, że bywasz u panów, aby im coś zagrać....

Zatrzymał się nagle artysta.

— Niekoniecznie dla mojej basetli tam bywam! odparł urażony.

Z PIĘCIU CZĘŚCI ŚWIATA.

VII.

„Pędź niewdzięczna lotem strzały
Tam, gdzie wieczne są upały,
Tam, gdzie wiecznie kwitnie maj,
Nam niech zima krew tu zetnie!..

Tak silnym głosem protestu odezwały się leniwe myśli felijetonisty waszego, skoro despotyczna siła woli chciała je skierować w obce dalekie strony. Ale pragnąc ukrócić to niesforne nieposłuszeństwo, przypomnieliśmy im obietnicę, daną wam, łaskawi czytelnicy, w przeszłym N-rze. Więc *nolens volens*, dalejże w drogę!..

Panowie! — jeżeli przyjdzie wam ochota wędrować w dalekie strony np. do *Kalkutty*, nie zapomnijcie też wziąść z sobą sporą ilość kwasu karbolowego, aby w razie potrzeby ratować się od nagłej peregrynacyi w krainę duchów. Tę radę daje wam szczerze życzący felijetonista. Bo oto nielitościwa dłoń mary cholerycznej ściga tam szczególniej nowych przybyszów. A zginąć tak marnie na obcej ziemi, zdala od najdroższych istot, do których dalekie wiatry nie przyniosą nawet wieści o zgonie, to nie bardzo przyjemnie dla kochającej duszy.

Po tak smutnem a czułem przemówieniu, musimy przystąpić do weselszych wieści.

Oto, felijetonista wasz nie wątpi, że wkrótce uroczy pokój zawita w Europie. Wprawdzie *Hiszpanija* zdaje się zaprzeczać tej błogiej nadziei, gdyż walka wre tam na dobre. Wojska karlistów otrzymały straszną porażkę w Tarragońskiej prowincyi. Po bitwie wielu z żołnierzy oświadczyło nawet chęć przejścia do obozu królewskiego.

Lecz z drugiej znowu strony mamy fakty, potwierdzające w zupełności zdanie sługi waszego. Oto *Cesarz Wilhelm* żywi podobno jak najlepsze uczucia względem pokonanej Francyi. Pisma zagraniczne donoszą, że na balu u hrabiny Hacfeld miał się w ten sposób odezwać do posła francuzkiego: „Monsieur l'ambasadeur, on a voulu nous brouiller, tout est fini maintenant.“ Mój Boże! warto być doprawdy pobitym i zapłacić nawet wielką kontrybucyją, aby później usłyszeć tak przyjazne słowa!

Kwestyja wyjazdu cesarza do Włoch nie przebrzmiała jeszcze. Niektóre organy prasy włoskiej utrzymują, że władca Germanii nie zaniechał swego zamiaru, a następca tronu niemieckiego miał podobno wygłosić prywatnie, że pogłoski o rozprzężeniu stosunków między obu rządami są zupełnie fałszywe.

Z innych nowin politycznych dowiadujemy się, że *książe Serbski* przyjmował niedawno kilka deputacyj z różnych stron kraju swojego. W przemowie do profesorów belgradzkich, którzy dziękowali mu za podwyższenie pensyj, upraszał ich, aby wychowywali młodzież w zasadach patryjotyzmu i wykorzeniali wszelkie zarody idei komunistycznych, gdyż w przeciwnym razie, Serbija nie będzie mogła wypełnić politycznego i cywilizacyjnego posłannictwa swego.

— Nie gniewaj się... tak mi się zdawało.

— Talent mój daje mi równe z nimi stanowisko!

— Wierzę... ale tu jest ktoś, co cię kocha!

— Z kochaniem takiem mogę się często spotkać... Zresztą ja bym tu zmarniał! Mam jeszcze całą przyszłość przed sobą!

— Dla czegobyś zmarniał?

— Każdy talent obowiązuje. Trzeba przecież coś dla kraju zrobić, i na szerokiem polu szukać zasługi!

— Mógłbyś i tu co zrobić. Burmistrz z tem się odzywał nieraz, że chciałby założyć szkółkę muzyki.

Floryjan parsknął śmiechem.

— Czy chcesz, abym był bakałarzem dla przyszłych organistów?... Moja karyjera na szerszym jest świecie!

Biedna kobieta zarumieniła się. Spuściła głowę i westchnęła.

— Dla czego wzdychasz? zapytał po chwili Floryjan.

— Przyszedł mi na myśl stary Łapecki.... Niechciał być organistą, do czego ojciec go sposobił, i poszedł w świat ze skrzypcami. Grywał u panów i na koncertach, tułał się po szerokim świecie, a po latach wielu przyszedł zbiedzony i pochylony do biednej rodziny, która do śmierci żywić go musiała! A jak pierwej głowę do góry nosił! Mówił ciągle o panach i koncertach!...

Floryjan zmarszczył czoło.

— Mieszasz mnie z jakimś ex-organistą! odfuknął gniewnie.

— Skończył przecież kurs w szkole muzycznej. Ojca kosztowało to wiele!

— Najlepiej zrobisz, jeżeli o tem zemną nigdy mówić nie będziesz! zakonkludował Floryjan i obrócił się tyłem do siostry.

Siostra stała czas niejaki i z smutkiem patrzała na brata. Nie mogła go dobrze zrozumieć, ale żal jej było, że tak piękne marzenia pracowitej rodziny mogły spełznąć na niczem.

Z westchnieniem wyrzekła kilka słów pożegnalnych, i wyszła do swojej pracy.

Floryjan sam został w izdebce. Usiadł przy oknie i podparł ręką głowę.

Przed nim roztaczały się obrazy poruszone rozmową siostry. Zdawało mu się, że w okienku po za liściami figowemi widzi bladą twarz Salomei. Salomea kocha go.... mówią już o tem ludzie w mieście i razem już ich łączą!.... Serce jego poruszyło się rozkosznie. Miłość kobiety — jeszcze takiej jaką była Salomea — mogłaby uszczęśliwić najwybredniejszego człowieka.... Tyle uroku w jej oczach błękitnych, tyle rozkoszy w tych ustach na pół otwartych.... dworek z ogrodem.... kamienica z balkonem! Można z dworku zrobić przepyszną willę, dać ganek oszklony, okna podwyższyć i zaopatrzyć je w szyby kryształowe... w ogrodzie porobić ścieżki i klomby z kwiatów, otoczyć żelaznym parkanem.... Albo w kamienicy można pierwsze piętro przerobić na apartamenta okazałe, sprowadzić meble i tapety z Wiednia... urządzać muzykalne wieczorki, o których mówiłoby całe miasto... od czasu do czasu dać koncert na cel dobroczynny, i zgromadzić w koło siebie całe obywatelstwo sąsiedzkie.... nie zawadziłoby i do Europy zrobić wycieczkę i uszczęśliwić ją także koncertem....

Tak zamarzył sobie przyszły artysta i było mu z tem bardzo przyjemnie. Serce biło rozkosznie a przeciwległy dworek z wysokim dachem zmieniał się uroczo w willę włoską z pnącym się winogradem i wodotryskiem przed rozkoszną werendą....

Z po za tego uroczego obrazu wychylało się niebo chmurne i groźne. Była to groźba ciernistych kolei artysty. Tyle pracy, tyle abnegacyi trzeba jeszcze sztuce poświęcić, tyle zawiści i intryg nikczemnych czycha na każdego wyższego człowieka.... a tu ułożyłoby się całe życie cicho i harmonijnie... i może niebyłoby nawet bez pewnego pożytku...

Biały dworek przeistaczał się co raz więcej w jakiś pałac uroczy — w przybytek szczęścia i rozkoszy... a Floryjan przy takim widoku szczęścia mógłby nawet być skromnym i zadowolić się tem, co ma przed sobą....

Wkrótce jednak zawiał wiatr inny. Ruchliwa jego wyobraźnia przeniosła go w inne światy. Przypomniał sobie to wszystko, co dotychczas zdobył na szerokim świecie. A były to wspomnienia bardzo urocze. Bogate salony panów, strojne kobiety z uśmiechem porywającym — oklaski i podziwienia, laury i wieńce, wszystko to gmatwało się jaskrawo przed jego oczyma!

Spojrzał na dworek. Był on teraz stary i zrujnowany, dach miał dziurawy i miejscami pokrzywiony. Nie było ani ganku oszklonego, ani wodotrysku przed kląbami róż i akacyi — a w oknie z liśćmi figowemi okazała się pomarszczona twarz gderającej zawsze babuni, która żadnych laurów nie miała dla niego.

Roześmiał się i machnął ręką, jakby mary jakie żegnał na zawsze, i od starego dworku zwrócił oczy na niebo wrześniowe, na którem w dziwnych kształtach grupowały się obłoki. Na tych obłokach zawiesił wzrok swój i utonął cały w fantastycznych obrazach mgły i promieni słonecznych, które tak zrozumiale malowały mu teraz ponętną przyszłość.

A przyszłość ta była cudownie piękna! Czekały nań pełne czary rozkoszy i upojenia! Te zbite w długi szereg chmury i chmurki to orszak zachwyconych grą jego słuchaczy, którzy klaszcząc w dłonie, podają mu wieńce i — złoto!... Te błękitne odsłony z po za chmur to tysiące patrzących nań oczu kobiecych, w których wre dla niego miłość i uwielbienie! Ten piętrzący się w dali obłok fantastyczny to pałac emerytury po tylu zwycięztwach i turniejach odbytych przed okiem wdzięcznej publiczności....

I spojrzał znowu na dworek przeciwległy. Jakże mu zmalał teraz ten dworek! Jak ubogo odbijał on teraz od tych obrazów, jakiemi karmiła się przed chwilą rozgrzana wyobraźnia!... A ta twarz blada z po za liści figowych... to twarz zwykłej dziewczyny, która nie zdoła zasłonić mu sobą tego wymarzonego świata, do którego tak wzdycha jego dusza gorąca!...

Ze sfery polityki przejdźmy do innych spraw obcego świata. Słyszeliście zapewne o szlachetnej bezinteresowności dziennikarstwa wiedeńskiego. W ostatnich szczególniej czasach przedstawia ono ciekawy bardzo widok. Panowie wydawcy, trzymając się zasady, że wszystko może być przedmiotem ruchu handlowego, puszczają w kurs twórczość swoję. „Kto da więcej!“ — oto zasada, wypisana na sztandarze mężów, dzierżących w swej dłoni kierownictwo opinii publicznej. Sprzedaż bywa dwojaka: 1) hurtowa, 2) częściowa. Sprzedaż hurtowa stoi na pierwszym planie. Każda redakcyja jest wierną służebnicą pewnej partyi, a w zamian za to otrzymuje określoną sumę marnego kruszczu, dla podtrzymania swej egzystencyi na pożytek możnych tego świata. Do sprzedaży częściowej uciekają się zwykle organa, nie należące stale do żadnego stronnictwa lub krezusowej osobistości. Panowie ci radzą sobie w bardzo łatwy sposób. Oto pewnego pięknego poranku osoba zainteresowana w jakiej ważnej sprawie, otrzymuje list z propozycyją w formie znanego frazesu: „*La bourse ou la vie*,“ co znaczy po polsku: otwieraj kieskę, albo sprawimy ci taką chłostę, że zginiesz bezpowrotnie!“ Zagadnięta w ten sposób ofiara, chcąc nie chcąc, musi przesłać do własnych rąk szanownego redaktora sporą sumkę wykupnego. Nie są to jednakże stracone pieniądze, sprawiają bowiem przedziwne cuda. Z największego niegodziwca robią najszlachetniejszego człowieka, z niedołężnego głupca — kolosa mądrości i talentu, a z pośledniej miernoty — zapoznanego genijusza. I oto na arenie wielkości zjawiają się nowe indywidua, pokryte dotąd mgłą zapomnienia. A największe talenta i najzacniejsze czyny, skoro się zjawią na polu działalności społecznej, nie poparte daniną pieniężną, padają pod zabójczą dłonią przedajnych zoilów.

Sądzicie może, łaskawi czytelnicy, że sprawy te odbywają się po cichu, w skrytości ducha. Bynajmniej! — Wczasie procesu Offenheima wskazywano palcami dzienniki, w których nienasyconą paszczę spływały całe bogactwa Kolchidy. W jednem z pism zagranicznych czytaliśmy *a propos* tego, dosyć charakterystyczną rozmowę dwóch literatów:

— Słyszałeś pan, że podobno dziennik X. nie przyjął od Offenheima ogromnej summy pieniędzy.

— Czy doprawdy?!.. A toż to szaleństwo prawdziwe!..

— Nie panie, gdyż pismo to otrzymało już dwa razy tyle od jego przeciwników.

Zdarzają się też w sferze piśmiennictwa zagranicznego dzieje krwawej zemsty ze szlachetniejszych pobudek. Oto niedawno w Paryżu pewna cudzoziemka, która opuściła ojczystą ziemię z przyczyny nieszczęśliwej miłości, powodowana chęcią zemsty napisała dzieło p. t. „*Souvenirs d'une cosaque*,“ w którem szkaluje artystyczną działalność i odkrywa ciemne strony życia byłego wielbiciela swego. W szalonym zapędzie zemsty czcigodna dama zdradza nawet nieostrożnie *incognito* swoje, odkrywając znane dzieje miłości i ubolewając nad niewdzięcznością kochanka.

W cichym zaścianku naszym nie słychać nigdy tak doniosłego głosu pogwałconych

Nie, to być nie może! Tak ugrzęznąć na wstępie drogi — to niepodobna! Trzeba to wszystko zostawić mimo siebie — trzeba iść dalej... bo tak każe sztuka, która go czemś lepszem wynagrodzi... Trzeba jeszcze jednę „pieśń bez słów“ skomponować, i tą pieśnią pożegnać miasto rodzinne, dworek biały i piękną Salusię, która może trochę popłacze — ale potem uspokoi się i pójdzie za mąż rozsądnie i praktycznie...

Tak myślał sobie Floryjan i rozrzewnionem spojrzeniem żegnał dworek z ogródkiem i okienko z liściem figowem i byłby może syt swego zwycięztwa naprawdę ten dworek pożegnał — gdyby w tej chwili nie był uczuł na swojem ramieniu jakiejś szorstkiej ręki.

Była to ręka starszego brata ślusarza.

Floryjan obejrzał się z pewnym przestrachem.

Brat miał twarz zwieszoną. Widocznie chciał ukryć zmieszanie.

— Czy wiesz Floryjanie — rzekł nieśmiało z jaką nowiną przychodzę do ciebie?

— Zapewnie zawiązujecie jakie nowe stowarzyszenie rzemieślników! odparł Floryjan jakby był nierad dowiedzieć się o czemś, co go trwożyło.

— Nowina moja tyczy się... tego dworku naprzeciwko.

Floryjan machnął ręką.

— Zapewnie znowu o pannie Salomei! Nie wiem czego ludzie chcą odemnie!

— Panna Salomea... wychodzi za mąż!

— Niezręcznie bierzesz się do mnie! Była już z tem przed chwilą Weronika!

— Szczęśliwy... pan Karol! westchnął ślusarz.

— Pan Karol? krzyknął nagle Floryjan, i osłupiał.

— Tak... pan Karol jest tym szczęśliwym człowiekiem, który będzie miał tak ładną żonę, dworek z ogrodem i kamienicę z balkonem!

Biedny ślusarz westchnął. Floryjan patrzał na niego okiem szklanem jakby go nie rozumiał.

— Co ty mówisz za brednie! zawołał po chwili, a twarz jego poczerwieniała — pan Karol... ten blady aplikant bezpłatny miałby odwagę....

— Rzecz prawie skończona!

— Nieprawda! To kłamstwo!... Miałażby Salomea...

Floryjan zerwał się tutaj na nogi i zacisnął pięście.

— Tak mi pod sekretem mówił asesor, który był świadkiem przy sporządzeniu dokumentu....

— Oszalałeś! Oszalałeś! wołał w uniesieniu Floryjan — to być nie może! to kłamstwo, wierutne kłamstwo!... Salomea przecież...

— Powiedziałem ci, co mi mówił asesor właśnie przed chwilą — dzisiaj mają się odbyć zaręczyny.

Po tych słowach wyszedł ślusarz i zostawił Floryjana w zadziwieniu, z którego długo nie mógł przyjść do siebie.

Floryjan stał długi czas prawie bez myśli. Wiadomość o zamążpójściu Salomei przyszła tak niespodzianie, że nie mogła się przyjąć dobrze w jego głowie.

Idzie za mąż! zawołał po chwili jakby przez sen — idzie za mąż!... Toż ona mnie nie kochała!... Było więc tylko złudzenie nic więcej?... Nie, to być nie może! Nie mogłem się mylić!... Ona mnie kochała!...

Po chwili milczenia roześmiał się śmiechem gryzącej ironii.

— Cha, cha, cha!... Ona mnie kochała... i idzie za mąż!... O kobiety!... Wy zawsze jesteście prochem marnym!... U was zawsze kłamią usta, kłamie oko.... i serce kłamie!... Cha, cha, cha! Ona mnię kochała, i idzie za mąż!... Idzie za aplikanta, który zostanie radcą, a ona będzie wtedy siedzieć na kanapie u pani aptekarzowej!... A ja myślałem, że to anioł Boży, który na promieniu księżyca spuścił się do mnie...

Floryjan zaczął szybko chodzić po pokoju.

I stała się teraz rzecz dziwna. Po pierwszym wybuchu gniewu na kobietę, która go zdradziła jak mniemał — przeszedł w pewne rzewne nastrojenie duszy. Ogarnął go żal do świata, do ludzi — którzy kapłanom sztuki wyrządzają tak wielkie krzywdy! Widział życie swoje zarosłe głogiem z cierniami, czuł na głowie wieniec z tych cierni, wieniec bardzo bolesny!... Wyrzucał światu niewdzięczność, oskarżał go o brak serca dla tych, którzy się dla niego poświęcają!... Słowem, w wyobraźni swojej przeszedł wszystkie katusze człowieka, któremu wyrządzono straszną niesprawiedliwość, którego ohydnie zdradzono, sponiewierano, złamano!

A powodem tej nowej sytuacyi była prosta wiadomość, że Salomea idzie — za drugiego!

Gdy z poziomu tej nowej sytuacyi spojrzał na biały dworek — wydawał mu się zupełnie innym. Miał dach prosty — dziur nigdzie nie było — a nawet niesymetryczność okien zupełnie zniknęła. Wyglądał on w tej chwili dziwnie pięknie i poetycznie. Bylica i paproć tworzyły w koło cudowną dekoracyją — kilka brzóz i topoli ugrupowało się artystycznie na pierwszym planie, a nawet pokrzywa wyglądająca z po za parkanu, miała teraz tyle poetycznego uroku!...

Salomea wychodzi za mąż... za drugiego!

Jakże pięknie i uroczo wygląda to okno z liściem figowem i gałązkami oleandru.... nawet twarz babuni ma wyraz patryjarchalny i patrzy przez to okno na świat wzrokiem miłości i przyjaźni!...

Wychodzi za mąż... za drugiego!

Jakże miło byłoby mieszkać w tym dworku, chociażby bez oszklonej werandy i... z babunią patryjarchalną... Jakże przyjemnie byłoby sadzić kwiatki w tym ogródku razem z Salomeą, która jest tak piękną, tak urocze ma spojrzenie i cudownej barwy włosy!... która umiała go tak rozumieć — umiała czytać w jego duszy, w jego spojrzeniach.... a omdlewała prawie przy jego „pieśni bez słów“?...

Wychodzi za aplikanta!

Gdzież on znajdzie taką drugą kobietę, która tak kochać umie? Któż na pustyni życia zbliży się do niego z taką miłością, z jaką zbliżyła się Salomea?...

---

uczuć. Zranione dusze niewieście snują dalej spokojnie smutną nić łzawego żywota, lub pocieszają się nowemi słodyczami erotycznych wrażeń. Jest to dowodem szczytnej pokory, cierpliwości i ducha ofiary dziewic naszych.

Zdarzają się drobne wprawdzie wypadeczki zemsty prywatnej, małe skandaliki, kiedy zdradzona ofiara, zdobywszy się na należytą energiją, słowami i czynem przypomina zwodniczemu donżuanowi słodki ciężar podjętych pierwej obowiązków, wbrew ścisłej zasadzie: *lex posterior derogat priori.*“ Lecz podobne wybryki dzieją się zwykle w sekrecie, a wrazie zbytniej jawności bywają załagodzone przez nieczułych stróżów porządku publicznego.

W ogóle większość cór naszego grodu znosi w cichości ducha erotyczne krzyżyki, jakimi je nieba nawiedzają. Oto niedawno usłyszeliśmy z wiarogodnych ust następujące zdarzenie:

Młoda panienka w towarzystwie starszej damy oglądała w pewnym domu mieszkanie do wynajęcia. Wtem z przyległego pokoju słyszeć się dają jęki, przerywane płaczem i gorzkiemi wyrzutami.

— Puść mnie, zaraz powrócę!..

— Tak, pójdziesz i znowu wrócisz nad rankiem!

— Ależ moja droga, wiesz przecie, że mam wiele znajomości i interesów, od których cały byt nasz zależy. Nie powinnaś się więc dziwić i gniewać, jeżeli czasem zbyt długo zabawię.

Nowy wybuch płaczu był odpowiedzią na tak przekonywające objaśnienie.

W tej chwili młoda panienka weszła do pokoju, gdzie się odbywała ta smutna scena. Na miękkim fotelu siedziała, a raczej leżała młoda bardzo kobieta. Twarz jej blada i zmieniona świadczyła o przebytych cierpieniach. Po wywiędłych policzkach płynął strumień łez, których nawet wobec obcej osoby wstrzymać nie mogła. Oczy pałały chorobliwym ogniem. Słowem biedna kobieta przedstawiała smutny widok, na który zadrżałoby najtwardsze nawet serce.

Widocznie jednak w łonie szanownego małżonka natura zapomniała umieścić w właściwem miejscu pewną materyją cielesną, która podług zdania anatomów dzieli się na komórki, a podług psychologów jest źródłem wszystkiego, co uszlachetnia istotę ludzką. Porwawszy bowiem czemprędzej przygotowane już ubranie, wybiegł szybko na ulicę.

W godzinę po tem zdarzeniu, też same osoby, przewędrowawszy w mozolnej pielgrzymce znaczną część miasta, wstąpiły na chwilę do cukierni, aby pokrzepić nadwątlone siły. W sąsiednim pokoju słychać było następującą rozmowę:

— Coś spóźniłeś się dzisiaj, mój drogi!

— Ależ bo nie wiesz, co za nudną mam żonę. Wystaw sobie, zaledwie zdołałem usprawiedliwić się przed nią z częstych wycieczek moich. Lecz to już długo nie potrwa. Doktorzy powiadają, że ma galopujące suchoty. Skoro się pozbędę tej niepotrzebnej zapory, będziemy mogli spokojnie hulać i używać świata.

Głos ten wydawał się nieobcym. W samej rzeczy był to głos tego samego małżonka, który przed chwilą w tak przekonywający

Wychodzi za mąż!

Fortunka była także nie do odrzucenia. Dworek z ogrodem wart co najmniej.... a dom murowany z balkonem trzy razy tyle.... przecież tego na drodze znaleść nie można! Szkoda domku z ogrodem, z którego możnaby było zrobić własną willę... szkoda kamienicy z balkonem... szkoda Salomei!

Floryjan na prawdę uwierzył teraz, że poniósł wielką, niepowetowaną stratę. Gorąca wyobraźnia jego malowała mu te stratę jaskrawemi farbami. Poczuł nawet łzy w oczach i konwulsyjnie załamał ręce nad głową.

— Jestem od kolebki człowiekiem nieszczęśliwym! jęknął boleśnie — wszystko jest przeciw mnie! Zły ojczym wypędził mnie z domu rodzinnego — los-ojczym prześladował mnie przez wszystkie młode lata moje — a jeżeli kiedy okazał mi błękitny kęs nieba, to na to tylko, aby go czemprędzej czarnemi zasłonić chmurami... Jestem stworzony do nieszczęścia i nigdy szczęśliwym nie będę!...

Przeszedł się kilka razy krokiem rozpaczliwym.

— Zjawił się przedemną anioł-kobieta—badał dalej — oddałem jej niebaczny całe serce moje.... przywiązałem się do niej jak się przywiązuje jemioła do brzozy pochylonej nad wodą jeziora... Nieszczęsny! Ja w tych wodach jeziora widziałem gwiazdy i księżyc... widziałem niebo Boże, a to tymczasem było tylko... złudzenie!

Wychodzi — za innego!

Taka burza rozpierała teraz pierś artysty. Czuł on rzeczywiście boleść, bo wierzył swojej wyobraźni, która taki obraz roztaczała przed nim...

Jakże to wszystko było piękne teraz, gdy je tracił!...

— Ale czy to wszystko prawda co asesor bratu memu powiedział? zapytał siebie i zbliżył się do okna.

Ach, na nieszczęście wszystko prawda. Floryjan widział w tej chwili wychodzącego z dworku starego kasyjera... Kasyjer miał twarz rozpromienioną i machał rękami, jakby go kto wsadził na sto koni!... Mówił coś do siebie i uśmiechał się jak człowiek, któremu udał się wyborny interes!

Twarz artysty bladła coraz więcej.

Stary kasyjer przeszedł mimo jego okna, i puścił się dalej jak kula. Tylko wielka radość może staremu tyle sił dodawać... Zrobił oczywiście tak dobry interes dla aplikanta... Salomea już mu rękę przyrzekła!

Teraz przypomniał sobie Floryjan bladego aplikanta, którego pierwej prawie nie widział. Przypomniał sobie różne jego słowa, spojrzenia... czyż może być aby Salomea wybrała aplikanta?...

Patrząc za starym kasyjerem spostrzegł teraz Floryjan, że tenże spotkał się z aplikantem. Aplikant wyraźnie czekał na niego na skręcie ulicy, aby się dowiedzieć o wyroku — Salomei... Zdaje się, że wyrok był pomyślny, bo stary kasyjer otworzył szeroko ramiona, o ile ciasny surdut na to zezwolił, i objął niemi szczęśliwego aplikanta i z całym ferworem do serca go przycisnął... A gdy z zielonych fałdów wychyliła się napowrót twarz aplikanta była czerwona jak piwonija z nadmiaru szczęścia!...

Wszystko to widział Floryjan. Żal i gniew wzmagał się w jego duszy — widział przed sobą istny dramat.

— Czyż moja rola już skończona? rzekł do siebie — mamże z rozdartem sercem stąd wyjechać — nie rzuciwszy wprzód na szalę losów moich jakiego czynu? Tak... coś zrobić trzeba, trzeba chociażby po raz ostatni przemówić do Salomei — spojrzeć na nią — i w tem spojrzeniu dać jej szczęście lub—jad na całe życie!... Jeżeli nie można będzie cofnąć wyroku — to trzeba w jej oczach jak Samson wstrząść całym gmachem swoich marzeń i zagrzebać się pod ich gruzami!...

A kiedy Floryjan tych słów domawiał, wybiegła Salomea z sieni na ogródek. Sprawiła na nim dziwne wrażenie. Biegła naprzód siebie ścieszką nie zważając że gałęzie drzew uderzały ją po głowie i twarzy. Włosy miała rozpuszczone jak płaczka pogrzebowa, a wiatr jesienny miotał jej wiotką szubą i tworzył z niej draperyje posągów greckich...

Taką pojawiła się teraz przed jego oczyma Salomea. Widocznie trapił ją jakiś niepokój, chciała uciekać przed czemś, co było niewidzialne, co jednak zdawało się pędzić za nią...

Na raz zatrzymała się... spojrzała pomiędzy drzewa na ubogi domek ślusarski... przyłożyła rękę do czoła, jakby coś lepiej dojrzeć chciała, i znowu niespokojnym krokiem do dworku wróciła.

Floryjan uznał teraz, że dłużej bezczynnym zostać nie może. Trzeba się zbliżyć do urny, w której właśnie ważą się losy jego i Salomei — i jeżeli potrzeba, silną dłonią sięgnąć do tej urny!

Wziął kapelusz i wyszedł.

d. c. n.

ZARYSY
Gubernij północno-i południowo-zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

VII.
Gubernija Kowieńska.

(ciąg dalszy)

Na Narodzenie N. Panny zaczyna się w Szydłowie jarmark, który trwa cały tydzień i na który zjeżdżają się kupcy z odległych miast. Najsłynniejszy to jarmark na Żmudzi.

Do dawnych bardzo osad litewskich należą *Kroże* (Krażaj) nad rzeką *Krożentą*, wpadającą do Dubissy, o mil 4 od Rosień. Wiemy że już w r. 1257 Mendog musiał odstąpić Kroże Krzyżakom, wkrótce jednak wróciły do Litwy. W wieku XVI były własnością Radziwiłłów. Jan Karol Chodkiewicz w r. 1614 założył tu kolegijum Jezuitów, z dawnego zamku przerobione. Tu w Krożach, w kolegijum Jezuitów znakomity Kazimierz Sarbiewski był profesorem i tu najpiękniejsze ze swych utwo-

---

sposób tłomaczył chorej żonie przyczyny długich wędrówek nocnych.

Przebaczcie mi czytelnicy, że zamiast bawić was wesołemi rzeczami, wskazaliśmy ten smutny obraz. Lecz sądzę, że wszystko, co odkrywa tajemnicze a wybitne tętna życia, musi interesować każdego, kto nie patrzy obojętnem okiem na los współbraci. Zaiste, na spokojnem na pozór tle zdarzeń powszednich, igra niekiedy wściekła burza pogwałconych uczuć, w cichym zakątku odgrywają się nieraz tak smutne dramata, że na ich skreślenie zabrakłoby łez i żółci w piórze najznakomitszego pisarza, a cóż dopiero w słabej twórczości sługi waszego.

A teraz przejdźmy znowu do obcej dziedziny.

W Wiedniu kryzys pieniężny, odejmując wielu rodzinom środki utrzymania, staje się niekiedy przyczyną smutnych dramatów. Niedawno publiczność tamtejsza wzburzona była wieścią o niesłychanej zbrodni, spełnionej w jednem z odległych przedmieści. Ubogi krawiec, nazwiskiem Jan Pokorny, czech rodem, wrócił pewnego razu dosyć późno do domu w niezbyt trzeźwym stanie. A w domu oczekiwała go żona z pięciorgiem drobnych dzieci, które już od kilku dni nic prawie nie jadły. Pracy zniknął nie można było dostać, a w kiesce pozostał zaledwie jeden gulden. Tymczasem właściciel domu upominał się o komorne, grożąc wyrzuceniem na bruk, a prócz tego nazajutrz trzeba było spłacić dług wynoszący 150 guldenów.

— Weź ten gulden — rzekł Pokorny do żony, dając jej ostatnią monetę — i przynieś ćwierć gęsi!..

Biedna kobieta, znając gwałtowny charakter męża i widząc tak podejrzaną hojność, nie chciała z początku słuchać rozkazu. Lecz skoro po raz drugi groźnym powtórzył go głosem, ze smutkiem udała się do bliskiej restauracyi.

Mąż odprowadził ją do drzwi, i zamknąwszy je na klucz, powrócił do pokoju. Następnie zebrawszy 4 dzieci (5-te trzymał na ręku), z których najstarsze miało lat 9, ucałował każde z nich i rzekł ponurym głosem:

— No dzieci, zabawimy się w koniki!

Uradowana dziatwa podskoczyła z radości. Ojciec przygotował uzdę i zaczął się bawić najprzód z najstarszym chłopczykiem. Zarzuciwszy mu sznurek na szyję, biegał z nim jakiś czas po pokoju, a następnie przez kuchnię wpadł do bocznego pokoju. Tam, zatrzasnąwszy drzwi za sobą, szalony ojciec obwiesił syna na zamku przy drzwiach.

Tymczasem inne dzieci oczekiwały z niecierpliwością, aż i na nich przyjdzie kolej pobawić się w koniki. Wkrótce powrócił ojciec i zaczęła się taż sama zabawa z drugim synem. Pobiegawszy po pokoju, zaprowadził go następnie do kuchni i postawił tam na łóżku. Dziecko, nie domyślając się niczego, najspokojniej patrzyło, jak ojciec w bijał w ścianę słabo tkwiący gwóźdź. Skończywszy tę robotę, zaczął ściskać sznurem szyję dziecięcia!

— Ależ to boli, ojczulku! — wyrzekł smutno chłopczyna.—Czyż to tak się bawią w koniki?

— Milcz Henrysiu! — krzyknął ojciec. — Z Karolkiem to samo zrobiłem!. — I nie tra-

rów napisał. Po kasacie Jezuitów utworzono tu gimnazyjum.

W okolicach Kroż, blizko źródeł *Windawy* czyli *Wenty*, a także nad brzegiem *Okmiany*, dużo bardzo kurhanów-mogił *Myłżyniu-Kapaj*, wewnątrz kamieniami wyłożonych.

Telsze główne miasto powiatu Telszewskiego, istniało już na początku wieku XIV. Zbudowane na 5 wzgórzach nad jeziorem *Mastis* z którego w tem miejscu strumień *Durbinas* wypływa. Ciekawa legenda krąży do tego czasu u ludu o założeniu Telsz. Dawno a dawno był sobie sławny rycerz-olbrzym, *Dżugas* zwany, nadzwyczajną siłą obdarzony, a zawzięty nieprzyjaciel Niemców. Jednem uderzeniem maczugi stu niemców zabijał, dęby z korzeniami z ziemi wyrywał, góry znosił. Niedość mu było jednak własnej siły: pragnąc wytępić Niemców, wszedł w stosunki z szatanami i stawali oni na każde jego skinienie straszliwie gromiąc nienawidzonych niemców. Otóż ten sławny Dżugas i jezioro wykopał i Telsze zbudował, a gdy mu przyszło umierać, sam sobie za miastem o pół mili (przy drodze do Olsiad) mogiłę usypał. Kurhan ten, wysoki, ostrokręgowy, istnieje dotąd i zowie się *mogiłą Dżugasa*. Wpobliżu jest i wieś zwana *Dżuginiary*. Co ciekawsze, że dotychczas w tej wiosce jest kilku wieśniaków, którzy od pra-pra-dziada Dżugisami się zowią.

W wieku XIV żył sławny rycerz żmudzki *Tel*, który mężnie wojował z krzyżakami. Stąd domysł, czy nie on był założycielem Telsz! Ale ten Tel jak świadczą kroniki żył pod koniec wieku XIV, gdy wiemy, że Telsze istniały już na początku tegoż stulecia.

Telsze prowadzą dość znaczny handel przeważnie z Rygą i Lipawą. Domów 325, mieszkańców w r. 1870 było prawie 7000.

Miedniki, albo *Wornie*, jak już wspomnieliśmy były stolicą biskupstwa Żmudzkiego. O 7 mil odległe od Rosień nad rzeczką *Wyrwittą*, która łączy ze sobą dwa duże jeziora; są tu jeszcze dwa inne jeziora, a z tych czterech, największe nazywa się *Łukszta*. Dzikie to, zapadłe ustronie, śród lasów, jezior i bagien, a dziwić się potrzeba, że właśnie ten zakątek, śród pięknej Litwy wybrano w najodleglejszych czasach na świątynię Perkuna. Wieczny ogień gorzał tu stale aż do roku 1413 w miejscu znanem dziś pod nazwą *Ugiany*. Krzyżacy niejednokrotnie napadali na Miedniki pod pozorem wyniszczenia bałwochwalstwa; ale wyprawy te nie zawsze miały powodzenie i niejeden rycerz spalony tu został na ofiarę bogom. Tak za Gedymina, w r. 1320, Litwini odnieśli znakomite zwycięztwo nad Niemcami i sam marszałek W. Henryk v. Plotzke z kilkudziesięciu rycerzami legli na placu, rycerz zaś Gerard Rode wzięty w niewolę, w zbroi, na koniu żywcem spalony został. Tak samo w r. 1389 po odniesionem zwycięztwie Komtur Marquard wraz z koniem i rynsztunkiem spalony został.

Zaledwo w r. 1413 wielki książe Witold w obecności Jagiełły święty ogień zagasił, wężów pozabijać kazał i ołtarze zburzył. Długo jednak i potem bałwochwalstwo przetrwało na Żmudzi, bo jeszcze w drugiej połowie XVI stulecia ślady jego były widoczne. Już w r. 1413 ustanowioną została katedra biskupia w Miednikach, albo Worniach, od miejsca za rzeką położonego i zowiącego się *Warniu Lizdaj*, t. j. *krucze gniazdo;* tak nazywano i poddanych *(Wornie)* przeznaczonych na usługi biskupa i nowo utworzonej kapituły, którzy właśnie za rzeką osadę swoję mieli. Pierwszym biskupem był *Maciej z Wilna*. Biskup tytułował się *żmudzkim, kurońskim* i *piltyńskim*. W gronie biskupów było niemało ludzi światłych i znakomitych nauką i zasługą narodową. Do kapituły zaś żmudzkiej należał znany nasz kronikarz Maciej Stryjkowski, był on bowiem kanonikiem żmudzkim i z Worń jeździł do Królewca (1564) drukować swoją kronikę.

Dyecezyja przetrwała w Worniach, jak już powiedzieliśmy wyżej, aż do naszych czasów. Tu była rezydencyja biskupa, seminaryjum i konsystorz, które obecnie przeniesiono do Kowna.

Na samej prawie granicy pruskiej, nad rzeką Okmianą, o 2 mile od Połągi leży miasto *Kretynga*, dziś własność Józefa hr. Tyszkiewicza, a w wieku XVII należące do Jana Karola Chodkiewicza, który tu w r. 1610 Bernardynów fundował. Było to miasto ludnę, handlowe i zamożne, czego liczne mury i nawet bruki świadkami pozostały. Domów dziś liczą dwieście kilkanaście, z tych trzydzieści kilka murowanych, a ludność zaledwo 2500 głów wynosi, z tych połowę stanowią żydzi.

Niedaleko Lipawy, na granicy Kurlandzkiej, o 5 mil od morza, w powiecie Telszewskim, leżą *Szkudy* nad *Bartawą* i *Łubą*, niegdyś także własność Chodkiewiczów, później przeszła do Sapiehów. Szkudy były miastem handlowem i zamożnem. Dziś liczą tu zaledwo koło 1000 mieszkańców.

Żmudź tak samo jak w okolicach Wilna, jak w pobliżu Warszawy i Krakowa ma swoję *Kalwaryją*, założoną w dawnej osadzie *Gordy*, niedaleko Telsz, przez biskupa żmudzkiego Jerzego Tyszkiewicza w r. 1642.

O 5 mil od Telsz, na jeziorze *Płotele*, z którego wypływa nie wielka rzeczka, niedaleko stąd łącząca się z większą rzeką *Mini*, na wyspie, była starożytna osada, z zamkiem, którego już i śladów nie ma. Później utworzyło się tu starostwo, a dziś jest to skarbowy majątek z nieliczną ludnością.

Miasteczko *Sałanty*, na wysokim brzegu *Sałanty*, dziedzictwo Górskich, prowadzi dość znaczny handel lnem i siemieniem, wyprawiając je do Memla i Lipawy.

Nad jeziorem *Szawle* i rzeczką *Rudawką*, leży miasto powiatowe *Szawle*, należące do dóbr Zubowowi nadanych przez Katarzynę W. Dawniej Szawle były naczelnem miastem ekonomii królewskiej. Podskarbi Tyzenhauz znacznie podniósł tu gospodarstwo i miasto murami ozdobił, tak że i dziś jeszcze Szawle należą do najporządniejszych zamożnych miast na Żmudzi. Pod miastem wznosi się wysoka góra, *Salduwes Kałnas*, która w odległych czasach stanowić musiała grodzisko, a później warownię. Miasto posiada 2,220 dziesięcin ziemi, przeszło 500 domów i przeszło 7000 ludności.

Pomiędzy Szawlami a Mitawą, na pograniczu Kurlandyi, leżą *Janiszki*, sławne jarmar-

---

cąc czasu obwiesił płaczące z bólu dziecko.

Podobny los spotkał i resztę dzieci, nie wyłączając ośmiomiesięcznego niemowlęcia.

Skończywszy tę okropną operacyję, nieszczęsny zbrodzień powiesił się sam wreszcie, uzupełniając krwawy obraz ofiary.

Biedna matka powróciwszy do domu, ujrzała drzwi zamknięte, a z pokoju dał się słyszeć żałosny głos Henrysia: „Mamo ojciec mnie powiesił.” Chłopczyk ten dziwnem zrządzeniem losu sam jeden ocalał od śmierci. Nogi jego dotykały nieco rogu łóżka, tak iż stojąc na palcach, mógł się na niem utrzymać i nie zawisnął w powietrzu.

Pojmiecie zapewne, co się działo w duszy nieszczęśliwej matki, skoro wywaliwszy przy pomocy sąsiadów drzwi, ujrzała zsiniałe oblicza najdroższych istot. Jeden tylko Henryk został ocalony. Reszta dzieci wraz z ojcem męczeńską śmierć poniosła.

A podobne krwawe dramata nie jednokrotnie już zdarzyły się w Wiedniu. Więc i w wielkim świecie, na łonie oświaty, gdzie rozpościerać się ma dobroczynna dłoń cywilizacyi, odgrywają się tak okropne dzieje, na widok których zadrżałaby nawet pierś średniowiecznego mordercy. O Europo! Europo!. O wieku dziewiętnasty! — ty sławny olbrzymie i... dobroczyńco!.

Zapuśćmy zasłonę na ten smutny obraz i przenosząc się myślą w nasz poczciwy zaścianek, przejdźmy do weselszych rzeczy.

Czytelniku! — czy znasz dobrze park Aleksandryjski na Pradze? — Może zasmakowawszy w letnim salonie naszym, nie raczyłeś zwrócić łaskawego oka na urocze ustronie, gdzie w cieniu drzew przechadzają się zwolennicy świeżej atmosfery, a w dalekich zakątkach gruchają zabłąkane parki!

W ciszy wieczornej, kiedy jasne odkryte niebo nęci wzrok śmiertelników uroczym błękitem i tysiącem złotych światełek, a cudna wstęga syreniego grodu odbija w głębi jakieś tajemnicze obrazy, lub kołysana z lekka zefirem, mruczy jakieś tajemne słowa; a tam po drugiej stronie w blasku świateł spoczywa stary gród nasz— wtedy czytelniku, jeżeli w obec tego obrazu myśl twa nie wzleci na skrzydłach zachwytu w krainę marzeń, wtedy, o wtedy.... przeklina cię poetyczna dusza felijetonisty. Zresztą nie trwóż się. Jeżeli słabe nerwy twoje obawiają się zbyt silnych wrażeń, lub twarda natura nie jest do nich zdolną, możesz, przechadzać się bez żadnych wrażeń w miłym chłodzie, gdyż żadne prawa municypalne nie nakazują zachwycać się widokiem uroczej natury. A że tam jakieś sentymentalne dusze nieczułym cię nazwą, to ci żadnej przecież szkody ani na duszy, ani na ciele nie przyniesie.

Ale... ale... uniesiony prądem poetycznej elokwencyi, zapomniałem o przyczynie, dla której wprowadziłem myśl waszę do parku Aleksandryjskiego. Oto jeden z dyrektorów trupy prowincyjonalnej uściele tam sobie podobno gniazdeczko, i uroczy głos Melpomeny wraz z cudnymi dźwiękami muzycznej liry ożywi ciszę zamiejskiego ustronia.

Tymczasem stary przyjacielel nasz— Ogród Saski, pod wpływem smutnego przeczucia, że zwolennicy wkrótce go opuszczą, nie myśli by-

kami, szczególnie na konie d. 2 lutego. Dawniej szczyciło się prawem magdeburskiem.

Tradycyje ludowe o olbrzymach, jak Alcysie litewskim i innych, częste są na Żmudzi, a niezawodnie sięgają bardzo odległych epok. Tak w szawelskim powiecie do dziś krąży podanie o olbrzymie — bohaterze *Ansulisu*. Żył on w tych jeszcze czasach, kiedy ludzie stałych osad nie znali lecz kryli się po lasach i—panował nad nimi. Walczył ciągle z narodami północy, a w jednym palcu swojej rękawicy dwudziestu ludzi mógł pomieścić. Tak nabiwszy niezmierną moc nieprzyjaciół, złożył ich na kupę, poczem poszedł do morza (o mil 18) i do dwóch swoich butów zaczerpnął piasku który przyniósł i wysypał na ową kupę ciał zabitych. Stąd powstała wysoka góra, zwana *Girniki*, do dziś dnia istniejąca niedaleko miasteczka *Kurtowian*. Kopiec ten należy do tak zwanych *mogił olbrzymów*, których nie mało także w okolicach *Kurszan*, nad Windawą (Wentą), o 3 mile od Szawel jadąc ku morzu. Kurszany, dawne dziedzictwo Nagórskich, znakomitego niegdyś domu na Żmudzi.

Ludne i dość zamożne miasto *Szadow* na granicy powiatów Szawelskiego i Poniewieżskiego, tak że jedna część miasta należy już do tego ostatniego, było naczelnem nader obszernego starostwa i posiadało prawo magdeburskie, a i dziś posiada własny zarząd miejski z ratuszem. Pod koniec zeszłego stulecia należało do księcia Stanisława Poniatowskiego, który odprzedał to miasto ze starostwem baronowi Roppowi, do sukcesorów którego i dziś ono należy.

Poniewież, miasto powiatowe Poniewieżskiego powiatu, nad Niewiażą i uchodzącą do niej strugą Żagena. Należy do nowszych osad z w. XVI, było miejscem sądów powiatowych ziemskich i grodzkich. Oprócz litwinów mieszkają tu od dawna starowiercy, również karaimi przesiedleni z Krymu za Witolda jednocześnie z Trockiemi. Miasto posiada 880 dziesięcin ziemi, około 500 domów, z tych ze 20 murowanych. Mieszkańców liczą około 8 tysięcy głów.

Pomiędzy Poniewieżem a Szawlami, na połowie drogi, brzegiem rzeki *Daugiwenna*, która wpada na północ do Muszy, przy wsi *Łandyszki* jest mnóstwo kurhanów z epok pierwotnych. Już Dubois de Montpereux naliczył ich 330. Oprócz Łandyszek takież kurhany są pod *Rozalinem*, *Kurpiszkami* i *Roginianami*. Wszystkie kurhany wyłożone są kamieniami.*)

Do starożytnych osad w powiecie Poniewieżskim należą *Birże*. Na lewym brzegu rzeki *Eglony* wznosi się starodawny zamek warowny, który był niegdyś głównym punktem i rezydencyją książąt Radziwiłłów na Birżach i Dubinkach. Księstwo Birżańskie liczyło w swoich posiadłościach 7 miast i 34 folwarków. W roku 1415 w sierpniu Władysław Jagiełło zwiedził Birże. Sławny Mikołaj Rudy Radziwiłł wzniósł tu wspaniały kościół kalwiński i założył szkołę wyższą dla kalwinów. Jakoż kalwini przetrwali w tej okolicy aż do naszych czasów nie tylko śród szlachty, ale i śród włościan, szczególnie Birżańskich i Madejskich. Syn jego, Krzysztof, wymurował tu nowy zamek, silnie obwarowany i zaopatrzony w uzbrojenia. Cellaryjusz powiada, że ten zamek do najmocnieiszych twierdz na Litwie należał.

Ciekawe są dalsze dzieje Birż. Nieraz one były świadkiem krwawych utarczek. W czasie wojny szwedzkiej zjechali się tu August II-gi i Piotr W. i bawili od 20 lutego do 10 marca 1701 r. Ale nie opowiadamy tych i wielu innych ważnych szczegółów, mało bowiem mamy miejsc na Litwie, któreby posiadały tak dokładną monografiję, jak Birże, opisane przez Eustachego hr. Tyszkiewicza (wydanie Kirkora w Petersburgu w 1869 r.) A jeszcze przed tem zamek Birżański treściwie opisany był przez Konstantego hr. Tyszkiewicza (w Tece Wileńskiej). Przez długie lata toczył się proces między spadkobiercą po ostatniej z tej linii Radziwiłłów, księżnej Stefanii Witgenstein i Tyszkiewiczami o prawo władania Birżami. Proces ukończony został przed trzydziestu kilku laty pomyślnie dla Tyszkiewiczów i Birże dostały się Janowi hr. Tyszkiewiczowi, który zaprowadził w ogromnych włościach birżańskich wzorowe gospodarstwo, wzniósł nowy pałac, bogaty w galeryją obrazów, biblijotekę i przedmioty sztuki. Jest tu nie mało drogocennych zabytków familijnych i w ogóle krajowych. Archiwum starannie utrzymane i zawiera nie mało ciekawych dokumentów z wieków ubiegłych. Umierając Jan Tyszkiewicz utworzył ordynacyją Birżańską, a jako nie mający dzieci, mianował pierwszym ordynatem synowca swojego, Michała hr. Tyszkiewicza, po którym za dojściem pełnoletności niedawno objął ordynacyją syn jego starszy z księżniczki Radziwiłłówny (linii Berdyczowskiej) zrodzony.

*) Ob. De Tumulus, des Forts, et des Remparts de la Russie occidentale. Paris, 1845. Wydanie F. Lacroix.

Nieodrzeczy tu będzie opowiedzieć wypadek, słyszany przez nas z ust wiarogodnych, a nigdzie zdaje się drukiem nieogłoszony. Należy on do zjawisk nadprzyrodzonych, którym rozum niepozwala dawać wiary, a które jednak tam i owdzie przytrafiają się przecie.

Wspomnieliśmy już, że hr. Jan Tyszkiewicz wzniósł pałac w Birżach. Kiedy gmach ten już był na ukończeniu, nie było tylko dachu, pewnego razu, w nocy, stróż spostrzegł na samym wierzchu murów, na gzemsie, osobę jakąś stojącą w bieli. Narobił więc chałasu, zbiegli się robotnicy, rozbudzono rządcę, a wszyscy osobę tę naocznie widzieli. Zjawisko to powtarzało się przez kilka nocy i nikło. Doniesiono w końcu dziedzicowi. Hr. Jan kazał siebie rozbudzić, skoro się ukaże. Zaraz po północy biała postać stanęła jak zwykle w środku ściany górnego piętra. Uwiadomiony o tem hr. Jan ubrał się na prędce, wziął parę pistoletów i pałasz i śmiało ruszył po wschodach i drabinach na górę. Zjawisko stało nieruchomie. Ale gdy hrabia zbliżył się ku niemu, zwolna postępować zaczęło naprzód. Hrabia szedł tuż za niem. Tak doszli aż do końca murów, a w tem miejscu w jednej chwili zjawisko znikło, jak gdyby ześliznęło się w dół. Ludzie stojący na dole z rządcą rzucili się w to miejsce, wszystko i wszędzie przetrzęśli, najsta-

---

najmniej okryć się uroczą szatą zieloności, lecz w ciemnej barwie zewnętrznego stroju objawia prawdziwą boleść swoję. A okrutny Zarząd obciął mu nawet czuprynę, pozbawiając chłodu jednę z najbardziej uczęszczanych alei, która nosi miano *literackiej*. Czyżby to były dzieje jakiej skrytej zemsty?...

Przy opustoszeniu Ogrodu Saskiego najbardziej stracą zapewne tak nazwane *aleje miłosne*. Całe tłumy nadobnych turkaweczek pod czułą opieką szlachetnej młodzi wyprawią się tam, gdzie spokojnie, zdala od oka ludzkiego w uroczem zaciszu można marzyć o niebieskich zachwytach i... ziemskich słodyczach. Tymczasem w ogrodzie, prócz wielu innych niedogodności, dawało się szczególniej we znaki czujne oko stróżów porządku miejskiego, którzy zbyt prozaicznymi niekiedy wybrykami przerywali rajskie upojenia młodej pary. Dalej więc, emigruj, na Pragę, o szlachetna młodzi, i niechaj ci tam Wenus wiecznie łaskawe okazuje oblicze!

Jeszcze słówko a propos grodu naszego. Miłośnikom ludzkości, którzy tak żywo zajmują się kwestyją zamienienia Sahary na morze śródlądowe, przypominamy, że i w naszym ucywilizowanym grodzie nie braknie tego rodzaju obszarów, których nie trzeba wprawdzie zamieniać na morza, lecz przynajmniej na jaką taką oazę, gdzieby strudzony wędrownik mógł spocząć na chwilę w miłym cieniu.

— Mamy przecież skwery!—zawołają optymiści.

Ależ panowie, toć to tylko ironija losu... czyli raczej municypalności warszawskiej. Pod cieniem suchotniczych drzewek możecie z wielkiem poświęceniem poddać najszlachetniejszą część ciała pod miłą operacyją promieni słonecznych, badając, jaki wpływ wywierają one na funkcyje mózgu ludzkiego.

Nie potępiamy jednakże w zupełności skwerów warszawskich, albowiem spełniają one nader ważną usługę.

— Obywatelu czy ci tu dobrze spać? — zapytałem późno nocą pewne indywiduum, które spoczywało w błogim śnie na jednej z ławek skweru z równie niezmąconym spokojem, jakby na najmiększym kobiercu lub najwykwintniejszej pościeli. Widocznie łaskawy Morfeusz zbyt silnie trzymał w objęciach swoich niewybrednego śmiertelnika, gdyż na odezwę moję nie odrzekł ani jednego słowa.

Jeden z felijetonistów zażądał od municypalności naszej, aby przygotowała należytą liczbę sienników dla tego rodzaju zbłąkanych bez schronienia indywiduów.

Widzicie więc, że i felijetonista, jeżeli tylko pragnie myśleć poważnie i szczerze o losach ludzkości, może się łatwo przyczynić do ulżenia niedoli biednym ofiarom ubóstwa. Sądzę że gdyby głos jego doszedł do osób interesowanych, musiałby przygotować skromną siedzibę swoję na przyjęcie jakiej owacyi. Ale cyt! bo gdyby się dowiedział o tem jego domowładca, gotów w zamian za tak szkodliwą dlań agitacyją, podwyższyć komorne, i biedny felijetonista musiałby pierwszy zbadać praktyczność wynalazku swego, mimowoli przynieść olbrzymią zasługę społeczeństwu swemu.

ranniej obejrzeli — ale najmniejszego śladu człowieka żyjącego nieznaleźli. Hr. Jan powrócił do mieszkania niewzruszony i zabronił mówić o tym wypadku. Więcej ta mara nigdy już się nieukazała. Zdaje się że w tej podróży hr. Jana uczestniczył przywiązany do niego szczerze kamerdyner, który niechciał opuścić swojego pana w tej chwili, kiedy ten, jak sądził, narażał się na tak wielkie niebezpieczeństwo.

d. c. n.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

I.

O leczniczej sile przyrody.

z Prof. i Dra Bock'a podał St. W. Łukowski.

„Medicus non est magister sed minister naturae ergo natura sanat, medicus curat morbos."

Chorzy ludzie i zwierzęta przychodzą często do zdrowia, zarówno wtedy, gdy pozostają zupełnie bez lekarstw, jak i wtedy gdy ulegają działaniu jakichkolwiek środków leczniczych i sposobów leczenia. Okazuje się to jasno przy rozmaitem leczeniu jednych i tychże chorób, bądź przez chciwych krwi aleopatów, bądź też przez prawdziwych homeopatów. Mówię *prawdziwych* homeopatów, gdyż większa z nich część, niekiedy przedstawia się rzekomemi, i jeszcze w 1832 r. otrzymała od Hahnemana nazwę *homeopatów-wyrodków*, a to z powodu, że w wypadkach, gdzie już nie mogą poprzestać na swoim *nic*, udzielają takież ogromne dawki alopatycznych środków (makowca, chiny i in.), jak i patentowani alopaci. Nie rzadko, chorzy zostają wyleczeni za pomocą różnych sympatycznych i zupełnie bezskutecznych tajemniczych środków; przekonywa o tym najlepiej, jeden z najniedorzeczniejszych sposobów leczenia, zwany *rademacherowskim*, przy którym dają choremu bezustannie i do tej pory różnego rodzaju lekarstwa, dopóki nareszcie nie nastąpi śmierć, albo wyzdrowienie. Oto własne słowa Rademachera:

„Przekonawszy się, że rodzaj choroby możebnym jest do rozpoznania, tylko za pomocą próby lekarstw, nie robię żadnego planu naukowego przy leczeniu i nigdy nie liczę na to, że przepisany przezemnie środek powinien okazać się skutecznym, on może być i bezskuteczny. Jeśli zaś nie pomoże pierwszy zadany środek, przechodzę do drugiego i t. d., dopóki choroba nie ustąpi, albo nie stanie się łagodniejszą."

Jakim więc sposobem chorzy wracają do zdrowia bez lekarstw, podobnie jak i przynajrozmaitszych metodach leczenia?

Zależy to od urządzenia naszego ciała. Jest ono zdrowem, kiedy prawidłowo odżywia się, kiedy zużyte jego cząsteczki są zastępowane bezustannie przez nowe, obumarłe zaś i nieprzydatne wydzielane zostają na zewnątrz. Przyczyna, z której powstało naruszenie prawidłowego odżywiania, może działać chwilowo i słabo, albo też przeciwnie, bardzo długo i silnie, zmieniając głęboko sprawę odżywiania tej lub owej części, a nawet całego ciała. W pierwszym razie, choroby pochodzące z takiego naruszenia odżywiania, nie zasługują na wielką uwagę i w większej części wypadków ustępują same przez się; w drugim zaś,—choroba rozwija się powoli, bywa długotrwałą i rzadko daje się zupełnie wyleczyć. W pierwszym razie, t. j. kiedy po chorobie następuje zupełne wyzdrowienie, opowiadano dawniej dziwne rzeczy o działalności jakiejś szczególnej siły, zwanej powszechnie *leczniczą siłą przyrody* (samozachowanie), którą wyobrażano sobie nawet w postaci jakiegoś ducha, przebywającego gdzieś w naszem ciele i stąd nad nim panującego (lekarz w człowieku!). Dziecinne to zapatrywanie, rozumie się, nie istnieje już w obecnym czasie, kiedy bliżej znamy przemianę materyi w ludzkiem ciele. Zresztą, leczniczą siłą przyrody, możnaby nazwać sprawy, za pomocą których chora część przychodzi do zdrowia. Na szczęście, w większej części chorób, sprawy te odbywają się same przez się, według zupełnie stałych praw, nawet wbrew wmieszaniu lekarza, i dla tego, znaczna ilość chorób, może bez żadnej obawy być pozostawioną własnemu przebiegowi.

Ponieważ nie wszyscy lekarze umieją i starają się zbadać przyrodzone sprawy lecznicze, odbywające się samodzielnie w chorem ciele, stąd w większej części tych panów, podobnie jak i zajmujących się leczeniem szalbierzy i profanów, obok śmiesznej zarozumiałości, zjawia się przekonanie, że przepisany przez nich choremu środek, był przyczyną ulgi i wyzdrowienia tegoż. Lecz nieszczęsna ta, zakorzeniona w medycynie idea, według której, za stałą przyczynę dalszych zmian w chorobie, poczytywanem jest tylko to, co lekarz lub szalbierz przepisze choremu, zrodziła mnóstwo niedorzecznych i przesądnych pojęć; podobneż zapatrywanie panuje i w życiu zwyczajnem, gdzie często bez żadnego zastanowienia się, wyprowadzane są najmylniejsze i przeciwne wszelkiej loice wnioski z danych twierdzeń, a skutki z faktów. Następujące przykłady wskażą, do jakiego nie raz stopnia bywają niedorzeczne, takiego rodzaju rozumowania.

Myśliwy, udając się na polowanie, spotkał na drodze starą kobietę, i dla tego...ani jeden strzał nie był dlań pomyślnym. Żołnierz, nosił na piersi talizman, i dla tego...nie był raniony na polu bitwy. Podagryk, od pewnego czasu nosił ciągle kostkę cielęcą w prawej kieszeni spodni, i dla tego...przez cały ten czas nie cierpiał na podagrę. Ktoś przygotował testament, albo siedział pod lustrem w towarzystwie trzynastu osób, i dla tego... wkrótce potem umarł. Ktoś powitał matkę ze zdrowem dziecięciem, i przy tem nie splunął trzy razy i nie powiedział „zachowaj je Boże," i dla tego... dziecię zasłabło.

Nic tak bardzo nie dowodzi braku rozsądku, lenistwa do myślenia i ciemnoty w obecnem pokoleniu, odnośnie do wszystkiego co się tyczy przyrody, a w szczególności ciała ludzkiego jak sąd *o stosunku przyczyny do jej skutków*. Nawet większa część tak zwanych ludzi wykształconych, jest do tego stopnia przesądną, i tak mało posiada pojęcia o sposobie działa-

---

A umie ono uczcić należycie prawdziwą zasługę. Cóż dopiero mówić o wielkich talentach i genijuszach. W tym względzie zawstydza nawet niekiedy sławione krainy Europy. Oto prochy wielkiego *Byrona* spoczywają do tego czasu w cichem ustroniu klasztornem, zapomniane zupełnie. Czyż w potężnej krainie Albijonu zabrakło już laurów dla największych olbrzymów myśli?

Teraz dopiero po długich latach utworzył się komitet, celem położenia pomnikowego kamienia na grobie genijalnego piewcy.

Jakżeż smutnym musi być widok samotnego grobu, nad którym unosi się duch wielki, przyświecający ludzkości całej, a na zimnym marmurze nie ma żadnego śladu, jakby tam najprostszy spoczywał śmiertelnik.

Cóś dziwnie poetycznego nastroju jest dzisiaj felijetonista wasz, łaskawi czytelnicy. Niepomny, że głównym celem jego twórczości winna być wesoła, miła a pożyteczna rozrywka; rozrzewnia wam niepotrzebnie serca jakimiś dramatycznymi obrazami, to znów na skrzydłach zachwytu wznosi myśl waszę w krainę sentymentalnych uniesień, i zaledwie kilka razy tylko odezwał się jowijalnym głosem dobrego humoru. A rzecz to najpotrzebniejsza! Bo przecież łez wam nie potrzeba: — rzeczywistość dosyć ich niekiedy wylewa. A więc radości i śmiechu! — Tymczasem tego na dziś dałem wam nie wiele! *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa!* Lecz, niestety, czasem nie stanie śmiechu na ustach, a werwy i dowcipu w myśli. Skoro urocza czarodziejka, którą wielcy wieszczowie ludzkości postawili na tronie z pereł i brylantów, w blasku niebiańskiego świata, spuści na głowę prozaicznego felijetonisty kilka promieni swoich, wtedy przed licem tej bogini upada lekka szata wesołego nastroju. Nie myślcie, nadobne czytelniczki, aby czarodziejka ta przyoblekła się w ciało jakiej ziemskiej niebianki, któraby, oczarowawszy siłą swych wdzięków sługę waszego, zamknęła mu usta śmiechu i wesołości! Nie wyrzekamy się wprawdzie podobnego rodzaju uniesień, lecz nawet w razie, gdyby która z nich łaskawie spojrzeć na nas chciała, odłożywszy na bok wszelkie indywidualne ewentualności, pragnelibyśmy trafić do gustu i przypodobać się czytelniczkom swoim.

Tymczasem przyjmijcie to, co dziś wam dać możemy, a jeżeli nie łaskawy na nas Morfeusz zamknie wam powieki, rzućcie w kąt tę bazgraninę, a biedny felijetonista, choć zapłacze gorzkiemi łzami nad smutnym losem swej pracy, przebaczy wam jednakże tę srogą zniewagę i poprawić się na przyszłość nie omieszka. Tymczasem skończyłem nudną pieśń ducha mojego. A więc do widzenia!

---

nia jakiejkolwiek przyczyny, że bardzo często, wbrew istniejącym prawom przyrody i zdrowemu rozsądkowi, przypisuje dane zjawiska i wypadki takim przyczynom, które nie mogą znajdować się z niemi w żadnym związku. Bo gdzież tutaj przypuścić rozsądek, kiedy spotkaniu ze starą kobietą, przypisywanem bywa — niepomyślne polowanie, talizmanowi— zabezpieczenie od ran, cielęcej kości — usunięcie podagry, a testamentowi i liczbie 13—śmierć?..

d. c. n.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

Ale i tego dowiedziałem się nareszcie.

— Więc mi odmawiasz — zapytał Iżurra.

— Jużem ci dawno odmówiła Rafaelu, a postępowanie twoje nie zachęca z pewnością do odmiany zdania...

— Moje postępowanie nic tutaj nie znaczy, ty masz inne ku temu powody. Nie myśl żem taki ograniczony i nic nie rozumiem. Znam twoję tajemnicę, wiem że się durzysz w tym intrygancie, w tym kapitanie Yankessów.

— Gdyby nawet tak było — sama jedna odpowiadam za to. Zresztą po co mam z tego robić tajemnicę mój panie. Tak, kocham człowieka o którym mówisz.

Złowieszczy płomień błysnął w oczach Iżurry, usta mu zadrżały, zacisnął zęby i z widocznem tylko wysileniem chamował wybuch gwałtowny.

— I poślubiłabyś go—zapytał?

— Poślubię go — odrzekła Isolina.

— A ja ci na wszystkich świętych przysięgam! że nic z tego nigdy nie będzie.

— Któż radabym wiedzieć temu przeszkodzi?

— Ja!

— Panie Rafaelu Iżurra, zapominasz się zanadto.

— Kochaj go sobie jak chcesz, to mnie nic nie obchodzi, ale zostać jego żoną! nigdy, na Boga żywego nigdy.

— Doprawdy?

— Na wszystkich świętych przysięgam... Tak ja przysięgam!..

— Pamiętaj pan żeś już wielu przysiąg nie dotrzymał.

— Słuchaj, zawołał teraz Iżurra gwałtownie, jak gdyby tracił cierpliwość — słuchaj a słuchaj dobrze, bo mam ci coś powiedzieć, co nie będzie może przyjemnem...

— Oh! tego się nie boję, aby mi pan Iżurra powiedział coś przyjemnego—no ale i tak słucham.

— A więc przedewszystkiem, to są oto dokumenta tyczące się i ciebie i twojego ojca.

Przy tych słowach spostrzegłem że Iżurra wyciągał jakieś z pod kaftana papiery, rozłożył je i tak mówił dalej:

— Oto karta bezpieczeństwa, wydana przez naczelnego wodza armii amerykańskiej dla Donny Isoliny de Vargas. Możeś ją już kiedy widziała co?.. A to, jest to list don Ramona de Vargas do komisarza jeneralnego tej samej armii, włożony w środek polecenia tegoż samego komisarza. Ładny dowód zdrady nieprawdaż?..

— Dobrze — no i cóż dalej?..

— Dobrze? Nie tak znów chyba dobrze jak się pani wydaje... Czy pani myślisz że prawo za zdradę nie karze?.. Niech tylko złożę te dokumenta Prezydentowi, a wnet otrzymam rozkaz zatrzymania was obojga, ciebie i twego ojca, i to jak najprędzej. Taki wypadek pociągnie za sobą, proszę w to wierzyć, konfiskatę majątków waszych, i ja się panem ich stanę. Tak, ja wszystko to sobie zabiorę.

Powiedziawszy to Iżurra, umilkł, jakby wyczekując na odpowiedź. Isolina milczała — nie widziałem jej twarzy, nie wiedziałem więc jaki skutek wywarły na niej te słowa, wyobrażałem sobie jednak że ją ta groźba straszna przeraziła.

— No Senorito — odezwał się znowu Iżurra, powinnaś zrozumieć swoje położenie. Zostań moją żoną, a bezzwłocznie zniszczę te papiery.

— Nigdy!

— Nigdy—powtórzył Iżurra, ha! miejże sama do siebie pretensyję. Wyjednam rozkaz przytrzymania was, a jak tylko oswobodzimy kraj od tych podłych hord zbójeckich... wasze dobra wezmę w swoje posiadanie.

— Źle obliczasz, panie Rafaelu Iżurra, odpowiedziała z pogardliwym uśmiechem Isolina. Zapominasz przedewszystkiem, że posiadłości ojca mojego położone są na brzegu teksańskim rzeki Grandy, a więc zanim zdołasz ty i tobie podobni oswobodzić kraj od hord rozbójniczych jak mówisz — rzeka stanie się granicą — i któż w tedy będzie miał prawo konfiskaty? Z pewnością ani ty, ani twój prezydent godny!

Odpowiedź Isoliny powiększyła jak się można było spodziewać wściekłość Iżurry, wiedział bowiem że było bardzo wiele prawdopodobieństwa, w tem co przed chwilą posłyszał. Zbladł ogromnie i zdawało się że utracił całą władzę panowania nad sobą.

— W takim nawet razie, ryknął, rzucając jakieś przekleństwo, w takim nawet razie, ty nic z tego wszystkiego nie dostaniesz. Posłuchaj panno Isolino de Vargas, posłuchaj jednej jeszcze tajemnicy jaką ci odkryję: Czy ty wiesz że nie jesteś córką don Ramona de Vargas?

Dostrzegłem że dumna dziewczyna zadrżała ugodzona w samo serce.

— Mam na to dowody, co mówię, ciągnął dalej Iżurra; gdyby nawet Stany Zjednoczone zwyciężyły Meksyk, na nic ci się to bynajmniej nie przyda. Ty nie jesteś sukcesorką don Ramona de Vargas.

Isolina milczała, siedząc nieruchoma na koniu, ale przyśpieszone ruchy piersi pozwalały się domyślać, co za burza wrzała w jej duszy.

Szatan mówił dalej:

— Teraz możesz już pani dostatecznie osądzić z jaką bezinteresownością ofiarowałem ci ramię swoję, tym więcej że cię nie kochałem nigdy, a jeżeli powiedziałem kiedy inaczej — przyznaję się że kłamałem...

— A wyrzutek nikczemny, pomyślałem sobie, całe swoje życie nie kłamał tak jak w tej chwili, boć wyraz twarzy zaprzeczał zupełnie słowom — boć w oczach widniała gniewna zazdrość na której nie mogłem się pomylić. O on namiętnie kochał Isolinę.

— Ja Rafael Iżurra, mówił znowu szyderczo — ja mógłbym kochać się w tobie — kochać córkę biednej jakiejś przekupki indyjskiej. Nie — to się podobno nigdy po mnie nie pokaże.

Ta bezczelność przeszła wszelką granicę — nieszczęśliwa dziewczyna nie była wstanie dłużej znosić zniewagi.

— Nędzniku! zawołała głosem w którym czuć było rozpacz źle powstrzymywaną—nędzniku podły, ustąp mi z drogi!

— Jeszcze chwilkę, odpowiedział Iżurra, ściągając silnie uzdę, jeszcze ci mam coś do zakomunikowania.

— Puść mnie — puść mnie natychmiast....

— Nie — nie puszczę cię dopóki mi nie przyrzeczesz, dopóki mi nie przysięgniesz...

— Co? usuń się, albo ci poślę kulę w samo serce!

Wyskoczyłem z zarośli biegnąc na pomoc Isolinie. Widziałem że podniosła prawą rękę do góry, a w ręku zobaczyłem przedmiot jakiś błyszczący. Był to pistolet który młoda kobieta skierowała ku Iżurze.

Nędznik znał bezwątpienia energiczny charakter swojej kuzynki, bo groźba poskutkowała natychmiast.

Ustąpił — lejce mu z rąk wypadły, i z wejrzeniem nienawiści pomieszanej z obawą cofnął się o parę kroków.

Zaledwie się to stało, biały rumak spięty ostrogą poskoczył naprzód, i wkrótce amazonka zniknęła w dali.

Przybyłem za późno, aby odegrać rolę rycerza.

Isolina nie potrzebowała już mojej pomocy, nie widziała mnie nawet, niesłyszała w tej chwili — gdy bowiem ukazałem się na miejscu zastałem tylko samego Iżurrę.

ROZDZIAŁ XLIX.

Zasadzka.

Iżurra stał do mnie zwrócony tyłem, bo wciąż patrzył jeszcze za Isoliną która zniknęła tak nagle. Nędznik śledził za nią iskrzącemi oczyma, miotając przytem jakieś przekleństwa i groźby.

Jego własny głos przeszkadzał mu mnie usłyszeć, to też nie spostrzegł mojej obecności, chociaż o trzy tylko stałem odeń kroki.

Mam pałasz przy boku, a wyrzutka w swoim ręku!...

Wielkie to dlań szczęście że w takiej chwili spotkaliśmy się ze sobą — gdyby nie to już trup jego leżał by był u nóg moich. Nie potrzeba mieć bo skrupułów do zgładzenia takiego łotra. Nastawał on na moje życie, wróg mój śmiertelny, i wróg tej którą kochałem nad życie. Nikczemny zdrajca i zbrodniarz, nie miał prawa domagać się by z nim postąpić jak z człowiekiem honoru i wcale muszę to przyznać, brakowało niewiele bym się z nim jak z dzikiem, więc niebezpiecznem zwierzęciem rozprawił.

Ale po chwili oburzył mnie zamiar taki...

Zawołałem nań po imieniu i trąciłem z lekka w ramię.

Zadrżał jak gdyby ugodzony kulą i strwożony zwrócił się ku mnie.

Rozpalone policzki okryła nagle bladość śmiertelna, oczy przybrały jakiś wyraz błędny i nieruchomy, ulękł się grożącego niebezpieczeństwa, bo nie mówiąc już o tem żeśmy się tak niespodzianie znaleźli przy sobie — mój wzrok i dobyty pałasz przeraził go niezmiernie.

Pierwszy to raz byliśmy tak blisko siebie — to też dopiero w tej chwili spostrzegłem iż był to mężczyzna wyższy daleko odemnie, ale i to także spostrzegłem że z przestrachu usta drżały mu jak w febrze.

Widziałem że mam nad nim stanowczą przewagę...

— Czyś pan Rafael Iżurra? zapytałem.

— Tak senor, odpowiedział mi pokornie, czego pan sobie życzysz odemnie?..

— Masz pan o ile wiem pewne dokumenta, których część do mnie należy. Bądź pan łaskaw zwrócić mi je w tej chwili...

— Czy mam honor z panem kapitanem Warfield, zapytał mnie znowu i udawał że przypatruje się niby podpisowi listu komisarza.

Spostrzegłem że ręce silnie mu drżały...

— Tak jest — ja jestem kapitanem Warfield! musisz pan wiedzieć o tem zapewne.

Nie odpowiedziawszy wprost teraz na moje zapytanie, odezwał się dalej.

— Prawda że mam tutaj list pod pana adresem, bo znalazłem go na drodze. Dobrze żeście zgłosili się o niego.

To mówiąc podał mi rozkaz komisarza, ale zatrzymał inne dokumenta.

— Był doń zdaje mi się dołączony mały bilecik, i to ten właśnie który pan trzymasz w ręku — proszę mi go powrócić także.

— Bilecik Ramona de Vargas był także rzeczywiście w kopercie.

— A więc należy do listu.

— Zapewne, więc służę panu...

— Jest jeszcze inny dokument w pańskim posiadaniu, jest to karta bezpieczeństwa wydana przez wodza amerykańskiego, na imię pewnej damy. Ta karta nie należy do ciebie senor Iżurra — proszę więc bardzo oddać mi ją także bo chciałbym ją zwrócić komu należy.

Tu Iżurra rzucił wzrokiem na prawo i na lewo, zdradzając wielką ochotę ucieczki.

Byłby to uczynił chętnie, ale trzymałem go na oku, a w ręku miałem pałasz gotowy do uderzenia.

— Jest i karta bezpieczeństwa, odpowiedział po chwilowem milczeniu, siląc się gwałtem na uśmiech. Dokument to bez żadnej dla mnie wartości, mogę nim służyć kapitanowi.

I podając mi papier żądany, roześmiał się szyderczo.

Złożywszy tę cenną zdobycz na piersiach, przybrałem postawę wojowniczą, i „broń się“ krzyknąłem do przeciwnika.

Widziałem już że miał pałasz tak samo jak ja, nie widziałem jednak że miał pistolety, których tym razem ja znowu wcale z sobą nie miałem.

Ostrze szabli mojej daleko było węższe od ostrza pałasza Iżurry, jednak nie obchodziło mnie to bynajmniej. Czy może być niebezpieczną walka z takim tchórzem?..

Na moje wielkie zdziwienie Iżurra nie chciał przyjąć wyzwania.

— Musisz się bić, krzyknąłem wtedy rozkazująco. Ty albo ja musi tu zostać na placu. Jeżeli się nie będziesz bronił zabiję cię jak psa. Czyż podły tchórzu dasz mi się zabić w ten sposób?..

Nawet takie przemówienie nie dodało mu energii. Usta ciągle drżały mu konwulsyjnie, oczami błędnemi przewracał w prawo i lewo szukając miejsca ucieczki, i pewny jestem gdyby miał najmniejszą nadzieję, byłby z pewnością zawrócił się i drapnął co sił starczyło...

Na raz co znowu zdziwiło mnie niezmiernie — nędznik ten nabrał odwagi, uchwycił za rękojeść z energiją człowieka zdecydowanego na wszystko...

Czym się ja omylił mając go za tchórza — czy rozpacz dodała mu takiej siły bezwiednie?..

Nie miał już obecnie poprzedniej miny przygnębionej, w oczach błyskała wściekłość i chęć zemsty, zgrzytał zębami i dzikie przekleństwa z ust mu się wyrywały.

Skrzyżowaliśmy się z taką siłą że iskry posypały się ze stali. Pojedynek się rozpoczął...

Szczęściem dla mnie że chcąc uniknąć pierwszego cięcia mojego przeciwnika, uchyliłem się trochę na bok i odwróciłem w inną stronę. Inaczej nie byłbym wyszedł sucho z rozprawy.

Odwróciwszy się bowiem, spostrzegłem dwóch ludzi pędzących ku nam, z obnażonemi pałaszami w rękach, i poznałem w nich gerylasów. Znajdowali się już nie więcej jak o dziesięć od nas kroków, a Iżurra widocznie musiał ich był przedtem już zauważyć...

To mi wyjaśniło jego nagłą zmianę frontu.

Ta to pomoc natchnęła go odwagą do zaczęcia walki — liczył na to że towarzysze jego przybędą w porę aby mnie zaatakować z tyłu.

— Hola! krzyknął zobaczywszy że i ja coś spostrzegłem. Hola! El-Zaro! José!.. śmierć Yankesowi, śmierć temu hultajowi!..

Pierwszy raz poczułem się w niebezpieczeństwie.

Trzech przeciwko jednemu to walka trochę nierówna, a w dodatku bez żadnej wątpliwości olbrzym z czerwonemi włosami i jego kamrat, musieli być przeciwnikami strasznieszymi od tego z którym miałem do czynienia przed chwilą.

Rozumiałem niebezpieczeństwo i miałem wszelkie prawo do ucieczki gdyby ta była możliwą, ale koń mój był za daleko, a nowo przybyli biegli właśnie drogą, którą musiałbym się udać po Mora.

O ucieczce pieszo ani myśleć można było, zwłaszcza gdy wiedziałem dobrze jak ci ludzie latać szybko umieją. Nie raz robiliśmy próby z tym rodzajem ich talentu. Byli już za blisko i na pewno by mnie dosięgnęli.

Nie było zresztą czasu do namysłu i ledwie go tyle zostało aby się cofnąć w tył o parę kroków.

Wkrótce natarli na mnie i musiałem odbijać jeden po drugim ich razy.

Nie umiałbym na razie zdać sobie sprawy z tej nierównej walki. Była to rąbanina w czasie której raniłem i zostałem raniony. Czułem że mi krew płynęła pod ubraniem i na twarzy... czułem osłabienie co raz większe, czułem że się staję coraz niezdolniejszym do walki.

Widziałem olbrzyma jak stanął przedemną z ręką podniesioną do góry — ostrze jego już mi wytoczyło krwi dosyć, bo koniec był nią zwalany, teraz miał mi zadać cios ostatni — śmiertelny. Nie byłbym go w stanie odwrócić bo wyczerpałem resztę sił pozostałych zasłaniając się przed natarciem Iżurry, ale w obec jawnego niebezpieczeństwa, nie mogłem się powstrzymać od rozpaczliwego okrzyku, na myśl że jestem zgubiony.

Czy to mój krzyk wytrącił broń z ręki draba i powalił go na ziemię?..

Czy to mój krzyk był przyczyną nagłego przerażenia, jakie się wybiło na pobladłych twarzach moich nieprzyjaciół.

Mógłbym to był przypuszczać, gdyby nie to żem posłyszał za sobą suche trzeszczenie gałęzi, gdyby nie to żem zobaczył strzaskaną rękę El-Zaro!..

Zdawało mi się że się budzę ze snu strasznego.

Biłem się z trzema łotrami, a teraz odwrócili się oni odemnie i zmykają jak pewnie dotąd nie zmykali nigdy w życiu.

Patrzyłem za niemi, ale o dwadzieścia już kroków rzucili się w zarośla i zniknęli.

Zwróciłem się w inną tedy stronę. Jakiś człowiek z bronią w ręku zbliżał się do miejsca w którem się znajdowałem.

To on strzelił, a że ubranie miał meksykańskie, widocznie jeden to z gerylasów który celując do mnie, trafił przypadkiem swojego towarzysza.

Widocznie śmielszym on jest od trzech tamtych razem, bo szedł ku mnie ciągle i jak sądziłem chce mnie zaatakować sam jeden.

Trzymałem się w pogotowiu, aby przyjąć go odpowiednio i wziąłem się do obcierania krwi, która spływając z czoła zasłaniała mi oczy.

Kiedy nareszcie człowiek ten znalazł się tak blisko że mogłem go dosięgnąć końcem pałasza, poznałem długie małpie ręce i krzywe nogi... Elijasza Quakenbossa.

Szeregowiec po wystrzale nie zatrzymał się dla powtórnego nabicia, ale się puścił ku mnie, chociaż nie miał nic przy sobie oprócz niena-

bitej strzelby. Ale i to dużo znaczyło w takich rękach — bo czworograniasta głowa byłaby w stanie kolbą dotrzymać placu napastnikom gdyby ich był zastał.

Wystrzał wystraszył ich i zniknęli.

Myśleli zapewne o zbliżaniu się sił znaczniejszych, a może także przypomnieli sobie o karabinach szeregowców, i przypuszczali że to oni właśnie przybywali mi na pomoc. To pewna że i ja nie myślałem o tem aż dotąd dopóki nie ujrzałem Quakenbossa w jego zdobytym kostyjumie oryginalnym.

Jego zamiłowaniu do botaniki, winienem był teraz życie—oryginał zbierał rośliny w lesie, a gdy się znalazł przypadkiem w bliskości rozprawy mojej i posłyszał szczęk pałaszy, w sam czas przybył by mnie obronić od stanowczego ciosu którym mi groził El-Zaro.

— Dziękuję ci Quakenboss! dziękuję mój dzielny przyjacielu! w sam czas przybyłeś aby mnie ocalić...

— Jeden strzał wszystkiego dałem kapitanie. Powinienem był strzaskać łeb temu czerwonemu dyjabłu albo przynajmniej kulę mu w brzuch wpakować, tymczasem wymknął się bardzo małym kosztem.

— Ma i tak dosyć, bo mu łapę strzaskałeś.

— Mówię panu że to głupstwo strzał taki. Ale wyście ranni widzę kapitanie?

— Oberwałem tam coś trochę, ale to głupstwo chociaż czuję się osłabionym nieco, bo za dużo krwi tracę... Mój koń... znajdziesz go tam... w pośrodku drzew... tam... Idź mój przyjacielu... przyprowadź Mora... mojego konia...

Na kilka chwil straciłem przytomność.

Kiedy przyszedłem do siebie koń stał obok mnie, a pochylony nademną botanik opatrywał mi rany bandażami, na które użył własnej koszuli. Jednę tylko nogę miał obutą — drugi but stał napełniony wodą, której część wylał mi już na piersi, a resztą skrapiał mi skronie i twarz ze krwi obmywał.

Po tej operacyi poczułem się daleko lepiej, a nawet że mogłem już wsiąść na koń, wdrapałem się na siodło i puściłem do domu. Towarzysz mój służył mi za przewodnika.

Postępując tą drogą jakąśmy sobie obrali, musieliśmy przechodzić tuż przy hacyjendzie i tak przy niej blisko że musielibyśmy byli być dobrze widzianemi, ale przeszkodziły temu ciemności nocy zapadłej.

To właśnie czego sobie życzyłem w tej chwili, chociaż opuściłem miejsce schadzki z nadzieją i życzeniami zupełnie innemi. Obawiałem się żeby mój stan obecny nie narobił wrzawy niepotrzebnej w tym domu. Przeszliśmy jednak nie spotkawszy nikogo, a po pół godziny byłem już w domu u siebie.

ROZDZIAŁ L.

Proskrypcyja.

Wypadki dzisiejsze obchodziły mnie bardzo byłem bardzo niespokojny o przyszłość.

Wiedziałem że Isolina pozostanie mi wierną do śmierci, wstydziłem się żem o niej wątpił na chwilę, i poprzysięgłem sobie że się już nigdy nie będę bawił w żadne posądzenia.

Nie to też bynajmniej dręczyło mnie, obecnie trapiła mnie jednak wielka obawa o jej bezpieczeństwo własne.

Zjawienie się Iżurry i jego bandy, bo przekonany byłem iż znajdują się gdzieś bardzo daleko, zjawienie się jego w chwili gdy co moment mogliśmy otrzymać rozkaz do wymarszu, miało w sobie coś groźnego.

Iżurczycy musieli zwąchać plan kampanii armii amerykańskiej!.. Pogłoski o jakich mi wspominał Wheatlej nabierały pewności.

Nowy wódz naczelny przybył na widownię wojny, i przeznaczył trzecią część armii okupacyjnej" na sformowanie korpusu ekspedycyjnego który miał działać przeciw Vera-Cruz. To odebranie nam najlepszego wojska, nasuwało na domysł, że szeregowcy jako znani z waleczności zaliczeni będą do tego także korpusu. Na nic nie zdały się żale, chociaż wszyscy wolelibyśmy pozostać ze starym naczelnikiem naszym, który już nie raz poprowadził nas do zwycięztwa.

Tak przynajmniej myślałem ja i Wheathlej a i Holingsworth prawdopodobnie, chociaż ten miał zupełnie inne przyczyny do pozostawania dłużej na brzegach rzeki Grandy. Jego ciągnęła tu Conchita stała i wierna kochanka.

Tymczasem armija amerykańska rozpoczęła już ruchy swoje. Piechota i oddział jazdy maszerowały na Brazos, Santiago i Tampico — gdzie miały się przeprawić na południe.

Prowincyje nad rzeką Granda nie miały być opuszczone zupełnie, ale oddziały pozostawiane tutaj miały ścieśnić swoje szeregi i wyjść nie tylko z naszej małej wioski ale z sąsiedniego miasta, w którym była kwatera główna dywizyi.

Na jakie więc pięćdziesiąt mil od wioski, ani jeden nasz żołnierz nie pozostanie, a bardzo prawdopodobnie nie zbliżymy się już nigdy do tej odosobnionej wioski. Smutnie się zadumałem rozmyślając o tem.

Bez wątpienia nieprzyjaciel wiedział o naszych działaniach, a mieszkańcy okoliczni wiedzieli dokładnie i o tem, że nazajutrz o świcie mieliśmy rozstać się z nimi.

Łatwo nam zauważyć przyszło że obywatele tutejsi nie będący *„ayankajados'ami"* stawali się coraz niegościnniejsi dla nas.

Te usiłowania okazania nam jawnej swojej niechęci spowodowały nawet były kilka zajść dosyć groźnych.

Podrzucano podedrzwi tych którzy okazali się nam więcej przyjaznemi paszkwile, zawierające wymysły i groźby. Sam nawet alcada otrzymał napomnienie podobne, pochodzące być może od jakiegoś zazdrośnika patrzącego niechętnem okiem na zabiegi Wheatleja około Conchity. Jak się później dowiedziałem, podobna korespondencyja doszła do własnych rąk osoby, która mnie osobiście bardzo obchodziła.

Obawiając się złych skutków z takiego usposobienia umysłów, starałem się obmyślić jakiś środek zabezpieczenia mojej narzeczonej, ale na próżno jak dotąd łamałem sobie nad tem głowę.

Na wszelki wypadek, sądząc że nędznika Iżurę będzie może jeszcze można złapać w swoje ręce, wysłałem za nim Holingswortha z oddziałem, który chętnie przyjął polecenie—i niecierpliwie oczekiwałem jego powrotu.

Głos Wheatleja wyrwał mnie z zadumy.

— Cóż tam nowego adjutancie — zapytałem.

— Nic — odpowiedział ze znaczącym uśmiechem... i wprowadził małego Cyprio.

Ostatni podał mi list, który śpiesznie otworzyłem ale nic w nim nie było, tylko zielona gałązka jałowcu i jedno słowo *„tuya"* napisane ołówkiem.

Znałem dobrze ten symbol.

Jałowiec nazywa się „tuya„ a „tuya" znaczy także po hiszpańsku „twoja" to jest wyraża francuskie *la tienne* czyli jestem twoją.

— Czy to wszystko zapytałem posłańca? nie masz mi co powiedzieć jeszcze?

— Nie senor kapitanie — odpowiedział roztropny chłopiec, mam się tylko pana zapytać czyś szczęśliwie i zdrowo powrócił.

Rozdzieliłem małą gałązkę na dwie połowy część jednę umieściłem na sercu, a drugą ucałowawszy gorąco zawinąłem w kawałek papieru na którym napisałem: „Twój do śmierci."

I znowu Cyprio poniósł moje pożegnanie.

O północy Holingsworth powrócił z wyprawy — ale powrócił z niczem.

d. c. n.

Przegląd literacki.

Rozbiór teoryi Darwina czyli Geneza gatunków ze stanowiska racyjonalnej krytyki przez T. Skomorowskiego — nakład Redakcyi czasopisma „Przyroda i Przemysł." 1874. — Rocznik wynalazków za 1873 i 1874 rok oraz Kalendarz i część informacyjna na 1875 rok — nakład tejże redakcyi.

Do najnowszych nakładowych publikacyj czasopisma: „Przyroda i Przemysł," należy: *Rozbiór teoryi Darwina czyli Geneza gatunków ze stanowiska racyjonalnej krytyki i Rocznik odkryć i wynalazków* wraz z kalendarzem na 1875 r.

Geneza gatunków opracowana przez pana Skomorowskiego, dała już pole polemice wielce żółciowej między *Przyrodą* a *Przeglądem Tygodniowym*. Z kolei przychodzi nam rozpatrzyć się w Genezie gatunków; zachowując bezstronność, zastrzegamy sobie przecież prawo swobodnego wypowiadania się w poruszonych tu kwestyjach naukowych.

Geneza gatunków jest bardzo staranną kompilacyją, do której P. Sk. czerpał materyjał z rozmaitych autorów piszących w tym przedmiocie. Czy jednak analiza jego oparta na tak pracowicie zebranych opinijach w tym przedmiocie jest umiejętną — czy jest trzeźwą i wyczerpującą—czy nie zdradza pewnych tendencyj z góry powziętych, do których nagiąć fakty autor usiłuje—to rzecz inna.

P. Skomorowski przeważnie opiera swój pogląd na pracy Mivarta: „*On the Genesis of Species*," używając przytem w pomoc poglądy wielu innych pisarzy i przyrodników, a między niemi Benneta, Köllikera, Dawsona, Duphina i t. p.

Mivart jest doskonałym anatomem, ale dość lichym myślicielem. Wykazuje on nam niedostateczność teoryi *wyboru naturalnego*, lecz w

jego miejsce nic nie podstawia—odmawia stanowczo *prawdziwości* tej teoryi, co nam wszakże nie przeszkadza przyznawać jej *użyteczności*. Według jego opinii, *użyteczność* pewnej teoryi, nie dowodzi jeszcze jej *prawdziwości*. Jest to aforyzm będący jedynie subtelnością metafizyczną.

Bennet w sposobie zapatrywania się na darwinizm, niewiele odstępuje od Mivarta. Kölliker jest zwolennikiem bezcelowości i teoryi rozwojów (ewolucyjnej), różni się wszakże wielce od Darwina, gdyż poszukuje we wnętrzu organizmów, a mianowicie w samych zarodkach, przyczyny wpływającej na przekształcenia ustrojowe. Jest to nietylko znakomity przyrodnik ale i głęboki filozof. Dawson już należy do całkiem przeciwnej szkoły, wierny tradycyjom Cuvier'skim, apostołuje niezmienność gatunku.

Chcąc sobie choćby pobieżnie zdać sprawę z rozmaitych poglądów tych uczonych, chcąc z zestawienia różnorodnych faktów opinij i spostrzeżeń wysnuć sąd pewien, potrzeba już niemałej pracy, i to właśnie stanowi zasługę P. Skomorowskiego. Z drugiej strony aby podjąć się takiego zadania, jak *rozbiór teoryi Darwina* ze stanowiska *racyjonalnej krytyki*, potrzeba ogromnego zasobu wiedzy samoistnego poglądu opartego na badaniach z mikroskopem w ręku, słowem *studyjów specyjalisty* dobrze obznajmionego z przedmiotem, a połączenia tych wszystkich tyle pożądanych rzeczy w tego rodzaju analizie nie możemy naturalnie wymagać od P. Skomorowskiego.

Wynika stąd że pomimo jego usilnych starań napotykamy w Genezie gatunków rozbiór jednostronny a często wadliwy, pogląd przykrojony do przewodniej idei której rzeczywistości dowieść autor usiłuje. Wskazują to samo cytaty zawarte w jego pracy, jak naprzykład przytoczenie na stronnicy 10 w 17: słów Mivarta mających niby objaśniać, dla czego teoryja Darwina liczy tylu stronników. „Przedewszystkiem naturalną było rzeczą, powiada Mivart, że *ludzie niedouczeni i płytkiego umysłu*, staną się bezwarunkowymi zwolennikami teoryi Darwina, z powodu jej prostoty i *łatwości*, z jaką objaśnia nieraz najbardziej złożone zjawiska.“ Najpierw zatem wszelka teoryja pozwalająca nam łatwo pojmować kwestyje zawiłe, pomimo że je objaśnia przedziwnie, może mieć jedynie wartość dla *nieuków i płytkich umysłów*. Wnioskiem stąd płynącym jest koniecznie ten, że Wallace, Lyell, Morton, Vogt, Haeckel należą do *głów tępych*. Czyż można ten paradoks Mivarta poważnie rozbierać? Iluż wśród nas liczymy darwinistów i to między mężami zasłużonemi w nauce, między profesorami uniwersytetu, którzy po przeczytaniu pociesznej tej cytaty wzruszą tylko ramionami.

Jakże płytkiem zresztą jest to zdanie w obec słów Agassiza, jednego z najzaciętszych przeciwników teoryi stopniowych rozwojów. „*Niespodziewałem się nigdy*, mówi on w swej korespondencyi do Huxleya *aby teoryja Darwina znalazła tak wielu stronników, i przyjętą została przez najznakomitszych przyrodników*.

Prawa korrelacyi czyli zależności wykazał Darwin na wielu przykładach. Koty o niebieskich oczach są zawsze głuchemi. Łokcie ręki ludzkiej są w pewnym związku zależności z kolanami, gdyż wysypki skórne na jednych, pojawiają się bezwłocznie na drugich. Geneza gatunków wszakże poczytuje te prawa za niegodne pobieżnego nawet rozbioru.

Na str. 108 w. 18, powołuje się P. Sk. na opinię Mivarta w przedmiocie teoryi przekształceń. „Jeżeli przyjmiemy, powiada on, hypotezę powolnych, stopniowych modyfikacyj organizmów, która jak wiadomo stanowi podstawę teoryi Darwina, to naturalnem rezultatem tego przyjęcia będzie wniosek, że następstwo organizmów na kuli ziemskiej musiało być stopniowe, to jest rozwój organizmów musiał postępować od budowy ogólnej do więcej specyjalizowanej. *I nie ulega kwestyi*, dodaje Mivart, *że tak się rzecz miała w wielkiej liczbie przypadków*. Nie można przecież zaprzeczyć, dorzuca dalej Mivart, że *niektóre* ze świeższych skamieniałości wykazują budowę prostszą i t. d.

Jeżeli więc w 100 okazach, znajdujemy 99 faktów mówiących *za teoryją* a 1 *przeciw niej*, to już mamy hypotezę jako błędną odrzucać? Ależ w takim razie żadnego prawa w nauce nie moglibyśmy wyprowadzać. Widocznie autorowi chodziło o sprawdzenie teoryi Darwina *co do kreski*. Niestety, należy ona do hypotez znajdujących dla tego tylko obywatelstwo w nauce, że lepiej od każdej innej hypotezy objaśnia nam zjawiska życia. Można w jej rusztowaniu wytknąć wiele wad jak to czyni Mivart — można ją odrzucać jak Quatrefages, można jej stawiać zarzuty jak Agassiz, ale niepodobna z tego tytułu nazywać ją niedorzeczną, ciemną, jak to czyni autor Genezy gatunków. Kamień węgielny tej teoryi jeszcze z miejsca wzruszonym nie został, i takie tarany jakiemi posługuje się rozbiór P. Sk. go nie skruszą.

Autor (str. 182) jest zdania że *spekulatywne* poglądy filozofów rzuciły *niejakie światło* na zjawiska życia. Dziwne to *światło*, zwłaszcza w myśli piszącego o teoryjach przyrodniczych. Co ma za związek Hegel z Wallacem badania anatomii porównawczej ze spekulacyją? Czyż sądzi P. Sk. że naturaliści powinni w kwestyjach trudnych szukać pomocy metafizyków? Ze względu na delikatną miękką skórę człowieka, Geneza gatunków rzuca w długich apostrofach argumenty dyalektywne, usiłując dowieść, że istota ludzka jako wątła, słaba i naga, nie mogła na podstawie teoryi wyboru naturalnego walczyć ze straszliwemi zwierzęty, z klimatem epoki lodowej i ze wszystkiemi sobie wrogiemi żywiołami. Nie ma żadnego racyjonalnego dowodu, powiada P.Sk. dającego się pojąć każdemu *zdrowo myślącemu człowiekowi* aby taka istota mogła żyć długo przeżyć inne i przekazać swemu potomstwu tę szkodliwą własność dla osobnika (nagą skórę).

Pozwoli nam P. autor, na jedną maleńką uwagę, że to wszystko daje się pojąć w sposób bardzo prosty. Jedno z dwojga, albo człowiek pierwotny nie miał skóry nagiej, a wtym razie był zabezpieczonym od zimna — albo też był nagim, i zabezpieczył się od szkodliwych wpływów powietrza, odzieżą sporządzoną ze skóry zwierząt z któremi mógł walczyć ową bronią krzemienną znajdowaną dziś w takiej obfitości w pokładach geologicznych. W każdym razie nie była to istota tak znowu bezsilna, jak nam się z pozoru wydawać może. Zwróćmy uwagę na czaszkę z okresu diluwijalnego wykopaną w jaskini Neaderthalskiej z ogromnie wydatnemi łukami brwiowemi, ze sklepieniem nizkiem, wskazującą niepospolitą siłę osobnika do którego należała. Rozpatrzmy się w skielecie znalezionym w grocie Mentony, lub wreszcie w szczęce ludzkiej dobytej z Cro-Magnon. Dość nam byłoby rzucić okiem na budowę anatomiczną trzech tych okazów, aby się przekonać, że ustrój owoczesnego człowieka był atletyczny, a co więcej, że uległ od tej pradawnej epoki wielce wyrazistym zmianom. Te dokumenta geologiczne popierają teoryją rozwojów, pomimo wszelkich czczych deklamatorskich frazesów. Szkoda że P. Sk. nie chciał zajrzeć do tego ciekawego archiwum, jakie jest własnością gabinetów archelogicznych. Nie wątpimy żeby zmienił swój pogląd, który dziś bądź co bądź nie wytrzymuje krytyki.

Według opinii P. Sk. (str. 191) delikatna skóra, czułość przyrządu słuchowego człowieka, poczucie moralności, zmysł piękna, nawet pojęcia abstrakcyjne — wszystko to występuje po za obręb rezultatów które mogą być objaśnione za pomocą zachowywania zmian pożytecznych. Gdybyśmy się zgodzili na ten pogląd, przyjąćby należało że zdolności umysłowe były *wrodzone* człowiekowi, że władał niemi od pierwocin swego życia — że zrodził się od razu doskonałym. Takie przecież pojęcie nie licuje wcale z zapatrywaniem się przyrodników na ten przedmiot, nie zgadza się z wiadomościami jakie zaczerpnęliśmy ze spostrzeżeń nad życiem tak człowieka jak i zwierząt. Wilczek nie umiałby chwytać jagnięcia, gdyby go rodzice nie uczyli sztuki łowiectwa i nie karcili w uczniu braku pojętności, co przecież potwierdzają liczne fakty. Pod wpływem wychowania człowiek rozwija stopniowo swój umysł a przy zaniedbaniu w tej mierze staje się zwierzęciem. Dość tu nam będzie powołać się na mieszkańców Ziemi Ognistej, na ludożerców wysp oceanu Południowego. Człowiek różni się od zwierząt mową członkowaną i potężną władzą kombinowania pojęć, dochodzących w rozwoju do najwyższych sfer abstraktu. Nie idzie przecież zatem, aby ta różnica była jakościową nie zaś ilościową, gdyż polega ona na niepospolitym rozwoju siedliska myśli, to jest mózgu, a składowe części tego organu są identycznie w całym świecie zwierzęcym.

Geneza gatunków na str. 202 inaczej zapatruje się na te różnice, które według niej polegają na zdolności pojmowania prawd abstrakcyjnych; na władzy rozumowania, nabywania wiedzy, możności wyrażania myśli za pomocą mowy, pojęcia złego i dobrego. Wolno było ongi wyrazić się Kopczyńskiemu, że różnimy się od zwierząt rozumem i mową — dziś jednak liczne spostrzeżenia okazały że zwierzęta posiadają władzę myślenia, rozumowania, mowę nieczłonkowaną, że umieją odróżniać dobre od złego.

Niech nam Geneza gatunków objaśni naprzykład, dla czego jeden pies choćby najgłodniejszy, zamknięty w pokoju z zastawionem mięsiwem nie ruszył jadła, gdy tymczasem drugi pies powodowany łakomstwem, nie okazuje całą postawą że zawinił? Czyż nie dość mamy spostrzeżeń przyrodników potwierdzających że zwierzęta umieją dobre od złego od-

różniać? Na te fakty autor przecież nie zwrócił żadnej uwagi. Nie posuwamy dalej przeglądu pracy P. Sk. Na polu podobnych rozbiorów wielu się potykało — ze względu też niespecyjalności autora, nie będziemy mu czynić zarzutów z usterek w terminologii popełnionych. Nie będziemy również szczegółowo rozbierać zarzutów nagromadzonych w Genezie gatunków przeciw darwinizmowi, gdyż analiza taka byłaby za obszerną na pobieżny artykuł i z natury samego przedmiotu, nie przedstawiałaby żadnego zajęcia dla czytelnika. Chodziło nam tu zresztą o wskazanie tylko głównej myśli przewodniej cechującej ów rozbiór.

Drugą publikacyją redakcyi czasopisma „Przyroda i Przemysł" jest *Rocznik odkryć i wynalazków*, obejmujący zarazem kalendarz na 1875 rok. Książka ta rozpada się na dwa działy. W pierwszym pomieszczono sprawozdania z postępów astronomii, chemii i technologii chemicznej, geologii i palentologii, mechaniki stosowanej i inżynieryi, jeografii, historyi naturalnej i rolnictwa, za drugą połowę 1873 r. i pierwszą połowę 1874 r.

Każda rubryka niemal tego dzieła jest starannie opracowaną, z wyjątkiem może rolnictwa stanowiącego tu zbyt pobieżne sprawozdanie—tudzież historyi naturalnej, posiłkującej się prawie wyłącznie przekładami ze znanego rocznika naukowego wydawanego przez Ludwika Figuiera (L'année scientifique et industrielle). Wybór tu poczyniony wcale nie szczególny, a można było z rubryką tą wcale pokaźnie wystąpić, wiele bowiem nowych spostrzeżeń przybyło, których niezużytkowano. Natomiast jeografija i chemija skreślone są bardzo umiejętnie. Sprawozdania z postępu nauk przyrodniczych zamyka bibliografija pracowicie i sumiennie zebrana. Dział informacyjny obejmuje obok statystyki miast, tabelę przychodu i odchodu poczt i pociągów kolei żelaznych tudzież taryfę pocztową. Ze względu na rozpowszechnianie wiadomości naukowych, które w innych kalendarzach są zaledwie dotknięte, publikacyja rocznika jest wielce użyteczną i pożądaną. Polecamy ją szczerze czytelnikom dla których postępy wiedzy nie są obojętne.

d. 21/4 75 r.

Wincenty Niewiadomski.

KRAJ I JEGO CIEKAWOŚCI.

WYCIECZKA DO OPOCZNA

PRZEZ

Kornelego Kozłowskiego.

Rudobrody Chaskiel czy Icele, dzierżawca dochodu mostowego w Drzewicy, wywołany turkotem kół, wybiegł ze zwykłem upomnieniem się:

— Nu—mostowe!

— Otwieraj żydzie!—wrzasnął mój furman, chłop Opoczniak, zawzięty żydów nieprzyjaciel, który żadnemu z nich, bodajby miał przed sobą i Rotszylda, nie powie inaczej tylko „ty." A i dodatków nie brakuje.

Co prawda, na Chaskielu napaść ta innego wrażenia nie zrobiła, tylko jakby mu wiatr zwykły wionął koło uszu. W cale się nie czuł obrażony, owszem uśmiechnięty, poznał we mnie „puretza" którego już u mostu kiedyś widział, a pokłoniwszy się, nadstawił rękę po pieniądze. Tymczasem, jak każdy „bardzo porziądny kupiec" miasteczkowy, pociągał dym z fajeczki którą zębami przytrzymywał.

Czterogroszowy miedziak otworzył przed nami wnet skrzypiącą i ciężką zaporę—i popędziliśmy dudniące po moście i przyglądające się jeszcze raz pysznej ruinie zamku Drzewickiego, która tak wdzięcznie przegląda się w gładkiem zwierciadle wód, opłukujących jej podnóża.

Z głębi kotliny rzecznej, na prawo z mostu, widnieją szczyty kuźnic Drzewickich, będących własnością znanej współki „Lilpop i Rau" w Warszawie; na lewo krajobraz rozległy i malowniczy. Cmentarzyk smutny, a za nim piaski, wydmy i nieużytki; za temi szeroki wał, będący podobno okopem Szwedzkim, a dalej sinieją wstęgi borów po nad któremi tu i tam rzędy strzelistych topól, odznaczają okoliczne wsie i folwarki.

Za Brzostowcem o jaką wiorstę, tuż przy drodze, stoi maleńka kapliczka z sygnaturką, kilką drzewami ocieniona. Właśnie przed zamkniętemi drzwiami tejże klęczały dwie kobiety w czerwienistych fartuchach i odmawiał pacierze wieśniak, z kobiałką przez plecy na sznurku przewieszoną, z baranią czapą i kijem podróżnym na murawie. Widząc że i mój człowiek ze skruchą się przeżegnał, kazałem na chwilę wstrzymać konie i spytałem:

— A co to za kapliczka?

— To *Rożek* panie, jest tu cudowny obraz z Matką Boską.

Zszedłem z bryczki dla przyjrzenia się, oddawszy również odkryciem głowy cześć temu miejscu, uświęconemu wiarą ludu, ale wnętrza kapliczki która była zamknięta więc i obrazu, nie widziałem. Jak mnie to człowiek w ciągu drogi następnie opowiedział, do miejsca tego ściąga raz w rok, w któreś święto, lud okoliczny, cisnąc się pod gołem niebem ku kapliczce, w której dnia tego odpustowe odbywa się nabożeństwo, a kapłan z ambonki, pod cieniem drzew, wygłasza słowo Boże. Żywa wiara o cudowności tego miejsca, wytwarza pomiędzy ludem różne gadki, tradycyje i legendy. Przed kilku laty znalazła się nawet pobożna jakaś dusza, która chciała poświęcić się życiu pustelniczemu w tem ustroniu. Jakoż trzeba przyznać że miejscowość ta, dzika i smutna, dziwnie może podniecać grę wyobraźni; jak teraz pobożny ludek ściąga tu do kapliczki dla cudów, którym jak najzupełniej wierzy, tak przed laty tysiącem mogły się tu gromadzić pogańskie tłumy, modlące się z zupełną wiarą w cieniach jakiegoś świętego gaju, lub bóżnicy.

Tuż za kapliczką głęboki jar ciągnie się w lewo coraz szerzej. Kilka chat w nieładzie, opartych o strome jego boki, stanowi wioseczkę, zupełnie z drogi ukrytą przed okiem podróżnego. Na samej głębi szumi młyn, a w kamienistym strumieniu, który pieniąc się, obraca cokolwiek dalej ku Gielniowu gderliwy tartak, trafia się nielada osobliwość, pstrągi, z których—o ile wiemy, w kraju naszym sławny jest tylko Prądnik pod Ojcowem. Nareszcie gromadki bydła i pastuszków ożywiają miejscami stoki owego jaru, okryte jałowcem, albo świecące białością nagich piachów.

Ale wkrótce zmieniamy kierunek jazdy. Szosa którąśmy dotąd szparko biegli, w kierunku prostym wiedzie na Końskie—do Opoczna, a w przedłużeniu na Sulejów do Piotrkowa, odrazu zwraca się na prawo. Jadąc lekkim wasążkiem, wyminęliśmy wszakże ten kąt utworzony z przecięcia się dwóch dróg bitych i wcześniej zjechaliśmy na prawo w las, oszczędzając sobie i koniom z jaką wiorstę albo więcej drogi. Konie w piasku zwolniły nieco biegu, koła przycichły, wasążek szedł spokojniej, czasami tylko silniej podrzucając nas w górę po korzeniach.

Po za lasem krajobraz się nieco zmienia, kończą się piaski i nieużytki u wsi Kraszkowa, za Mroczkowem gleba ziemi stanowczo już coraz lepsza, kultura jej staranna, znać gospodarstwo zamożniejsze. Daje się to szczególniej widzieć na Starostwie, pięknej i korzystnej posiadłości pod Opocznem. Bliżej miasta są łomy piaskowca, nie głęboko, gdyż miejscami ledwo na parę stóp pod wierzchem się znajdującego. Dobywają go w kawałach płaskich, niekształtnych, używając takowych do budowy ścian i kominów. Domy jednak z kamienia tego postawione, niedogodne są, gdyż wilgoć i zimno w sobie zatrzymują. Przed kilkunastu laty dostawało się tego kamienia z łomów Drzewickich, jednokonną furkę za 6 groszy, dziś za taką potrzeba dać groszy 20, zawsze jednak materyjał to dość tani, a z powodu obfitości, niemniej łatwego dobywania go; szczególnie dość rzadko widzieć się dają w Opoczyńskiem, dla czego i cegła tu dość droga. Od tego tu kamienia, czyli opoki, miasto—a za niem i kraj cały, stojący na opoce nazwany został Opoczyńskiem, jak zaś powszechnem jest użycie tego materyjału dziś, tak samo było przed wiekami, gdyż wszystkie stare budowle, wszystkie rudery i zwaliska z niego zostały postawione. Obecność jego we wnętrzu ziemi łatwo poznać, po drobnych i płaskich szczypach, gęsto, szczególnie na wzgórzach piaszczystych rozsypanych.

Nareszcie zabielały przed nami liczne domy i domki, zaczerniała w nizinie starym nieotynkowanym murem potężna żydowska bóżnica, i zawróciwszy wraz za szosą jeszcze raz na prawo, groblą po moście, po nad szeroką rozlaną taflą wody ze zbiegających się tu dwóch rzek Drzewicy i Węglanki, wjechaliśmy do Opoczna. Podniósł się przed nami dość imponująco na wzniesieniu piętrowy gmaszek z bramą wjezdną, zwany zamkiem Kazimierza Wielkiego i tędy z pod sklepienia wysunęliśmy się na placyk, z którego wązka uliczka prowadzi na główny rynek.

Gród ten Kazimierza W. i Esterki, zwykle dość cichy i prawie pusty, tą razą zastaliśmy w peryjodycznem, od czasu do czasu ponawiającem się ożywieniu. Co drugi Czwartek bywa tu *niby* targ, ale tą razą trafiliśmy na tak zwany *stary*, więc walny jarmark. Wszędzie ciasno i gwarno. Na placyku był ścisk około kożuchów, jeszcze większy tłok w rynku około butów i trzewików, ale dość cicho i przestrono

w ulicy bocznej, przy składach odzienia. Ogólny zresztą widok jarmarcznego ruchu, ten sam co i wszędzie; zaszargane żydki na wszystkie strony po błocie się uwijały, chłopstwo szumiało, stosy kiełbas i kiszek znikały u rzeźników, wypróżniały się beczki po składach wódek. Za to spokojnie u Batawii, utrzymującego tu główny handel towarów kolonijalnych. Kilku szlachty zasiadło tu za stołem, skromniutko bawara pociągając. Narzekali na różne swoje kłopoty, szczególnie na tegoczesnych gminnych edylów, tyle mających wiadomości i uzdolnienia do urzędu, co pierwszy lepszy kołek w płocie, że pominiemy nadto inne, i dużo gorsze względy. Utyskiwali na draźliwe stosunki z ludem na serwituty, wreszcie na ciężkie czasy, na długi, na Moszków, Icków, Abrahamów i całe pokolenie prowincyjonalnych wyzyskiwaczy i lichwiarzów. W parę godzin po południu, choć jeszcze daleko było do wieczora, widziałem już bryczki rozjeżdżające się z panami braćmi na wsze strony. Pomyślałem: „mutantur tempora, et nos mutamur in illis."

Posiliwszy się w miejscowej restauracyi zwanej także cukiernią, porcyjką befsztyku i kufelkiem bawara, udaliśmy się na miasto dla przepatrzenia, czyby się tu nie dało wynaleść coś, mającego wartość historyczną, archeologiczną lub artystyczną.

O zewnętrznej fizyjognomii miasta nie wiele jest co powiedzieć; miasteczko dosyć nędzne — i dopiero chwalebnym usiłowaniom teraźniejszego Naczelnika powiatu, zawdzięcza czystość, porządek i nawet niejaką dążność do dźwignięcia się, jaka daje się tu spostrzegać.

Zmarły przed dwoma laty ksiądz Drążkiewicz, który przez lat 36 proboszczem był w Opocznie, opowiadał mi niektóre szczegóły, do przeszłości tego miasta się odnoszące. Było Opoczno kiedyś, przed pięciu albo i sześciu wiekami, obronnym grodem, otaczał go wysoki i gruby mur, którego ślady dotąd w fundamentach się przechowały. Obwód muru tworzył długi prostokąt i w tym tylko dwie bramy się znajdowały; jedna będąca dotąd w dolnem sklepieniu zamku, druga naprzeciw ku Piotrkowu, i z tej jeszcze jakoweś szczątki z kamienia, czyli miejscowej opoki są widoczne. Mur od zamku szedł tuż za kościołem i plebaniją, za którą zaraz zwracał się — i krótszym bokiem prostokąta dotykał ściany, mającej w pośrodku bramę przeciwległą. Nadto broniły zamku z trzech stron rozległe bagna, tworzące dziś obszerne pastwiska i nizinę, przedstawiającą w czasie wylewu wód, imponujący widok bardzo szerokiej rzeki, z czwartego boku, tuż za bramą, znać jeszcze wyraźny ślad głębokiej fosy. *(d. n.)*

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Listy z podróży po Grecyi i Sycylii pisane do Michała B...... przez Henryka Bartscha, autora „Wspomnień z podróży do Jerozolimy i Kairu" z widokiem Ateńskiej Akropoli. — Warszawa. Nakładem E. Wendego i Spółki. 1875 r. str. 261 in 12-o, cena rs. 1 kop. 20.

Z podróży po pięknych krainach południa, gdzie przecudne blaski czarownej natury zachwycają mniej nawet wrażliwą duszę wędrowca; gdzie pod tchnieniem nowego życia drzemią zabytki bohaterskiej przeszłości, maluje autor wierne obrazy i przedstawia wrażenia własne, nie czerpiąc z żadnych źródeł historycznych i etnograficznych.

Ciekawym jest nader opis zabytków przeszłości. Ateny nowe na gruzach starego grodu Hellenów, szczątki wspaniałych gmachów: Akropolis, Areopag, Partenon, ruiny świątyni Tezeusza i więzienia Sokratesa, kolumny świątyni Jowisza, stare wreszcie pamiątki Koryntu, Argos, Nemei i t. d.—tworzą cały szereg pięknych i zajmujących obrazów. Charakterystyczne wreszcie rysy nowego życia uzupełniają całość opowiadania.

Język piękny choć prosty, malowniczy prawdziwie koloryt w kreśleniu obrazów, naturalna werwa i w ogóle wszystko, co ożywia tego rodzaju pracę, — oto wysokie przymioty tej książeczki. Słowem znajdzie tu czytelnik wiele nowych i pożytecznych rzeczy, a w nadobną przyobleczonych formę.

Niewiasta polska w początkach naszego stulecia (1800—1830 r.) przez K. Wł. Wójcickiego. Warszawa. Nakładem Michała Glücksberga. 1875 r. in 12-o str. 348 rs. 1 kop. 20.

Pisarze starszego pokolenia lubią często przenosić się myślą w chwile ubiegłej przeszłości, na skrzydłach, któremi unoszą ich wspomnienia chwil dziecięcych, dumy młodzieńczego serca, stare opowieści ojca i przestrogi matki. Wtedy myśli ich i uczucia, uniesione siłą wspomnienia, przedstawiają się w blasku prawdziwej poezyi. A my, synowie nowego pokolenia, odkrywszy tę księgę, gdzie przeszłość czarowne odkrywa oblicze, stajemy zachwyceni życiem innem, prawdziwie poetycznem, choć pod wielu względami niezgodnem z obecnemi pojęciami.

Pan Wójcicki maluje nam życie dawnej *niewiasty polskiej*. Samo to słowo budzi w nas jakieś dziwnie urocze uczucie. Nasłuchaliśmy się tyle od ojców i matek naszych o świętości i cnocie owych kapłanek w zaciszu domowego życia, że mimowoli jakaś religijna cześć przejmuje duszę naszę. Zmieniły się potrzeby czasu, rozszerzyła się znacznie sfera działalności kobiecej. Dla tego też bogobojne matrony i cnotliwe dziewice lat ubiegłych nie mogą być dla nas bezwzględnymi ideałami. Ale jedna strona posłannictwa niewiasty, strona najważniejsza ukazuje się tam na szczycie prawdziwej doskonałości. Zapatrując się na rzeczy z ówczesnego stanowiska, musimy hołdem należytego szacunku i podziwienia uczcić dawne kobiety.

W formie prostej a serdecznej pogadanki maluje nam autor ciche, pełne cnoty i poświęcenia życie matek naszych. Bohaterkami jego są przeważnie wieśniaczki. Gospodarność i oszczędność, spokojne życie domowe, poszanowanie węzłów rodzinnych, czysta miłość dziewicza, prawdziwa wierność i cnota małżeńska — oto główne przymioty zacnych niewiast naszych w przeszłości.

W wielkiem mieście pod wpływem francuzkich obyczajów zaćmiło się nieco jasne tło życia kobiecego. Na wielkim świecie odgrywało się wiele namiętnych dramatów, a mrok buduaru skrywał nie jednę tajemnicę eleganckiego *grand mond'u* z czasów Księztwa Warszawskiego.

Nie zapomniał też autor o umysłowem życiu ówczesnych kobiet, o klasztornem i domowem ich wychowaniu i o pierwszych płodach literackiej twórczości. Obok typów niewieścich na charakterystycznem tle epoki snuje się wiele postaci męzkich, wiele oryginalnych obrazów życia, wiele starych obyczajów i stosunków.

Nie omija autor i ujemnych stron życia, wypływających z nieumiejętnego wychowania i powierzchownej ogłady. W wirze uciech i zabaw wielkiego świata, słaba niezahartowana dusza kobiety dała się niekiedy porwać zwodniczym ułudom zewnętrznych błyskotek i prądom namiętnych uczuć, głusząc w piersi szlachetniejsze pragnienia serca.

Wszystko to przedstawia autor w zajmujących opowieściach, w żywych i poetycznych niekiedy obrazach; słowem wprowadza czytelnika w zaczarowaną krainę nieznanego świata, pełnego różnych—ciemniejszych i jaśniejszych barw życia. A wszędzie czuć prawdziwie szczere uczucie, z jakiem maluje autor piękne strony przeszłości.

A. Pilecki.

Książki powyższe nabyć można w księgarni A. Kowalskiego. Ulica Nowy Świat Nr. 39.

Korespondencyje Opiekuna Domowego.

z powiatu Mińskiego. Kwiecień 1875 r.

Po roku ośmielam się znów odezwać z tutejszego zakątka, lecz czuję że niezgrzeszyłbym odzywając się choćby po kilku latach dopiero. Rok przeszedł... to znaczy że przeszła wilgotna i chłodna wiosna, suche lato, pogodna i długa jesień i jeszcze dłuższa zima, że zwyczajnym trybem obróciła się jeszcze raz kolejka w przyrodzie i opóźniająca się, więc upragniona wiosna nadchodzi; ptastwo znów przylata na szeroko rozlane błota, bocian klekocze nad kurną chatą rusina i porykuje bydło wygnane z głodnej obory, na szare jeszcze pastwisko. Znów pójdzie dalej urocze: „zawsze toż samo," a dla ludzi?.. także toż samo, tylko wcale nie urocze, niestety.

Życia, zmian? O! Panowie macież wy sumienie pytać nas o to? Cóżeście wy zrobili w czasie minionego roku, wy mieszkańcy szczęśliwszych okolic? Czemże wy możecie się poszczycić gdy nam zechcecie wyrzucać brak życia. Zresztą nietrzeba sądzić z pozoru, bo jak powiedziano: „można się w sądzeniu poszkapić." Wyjdź no na większą drogę któregokolwiek dnia (sobotę wyjąwszy) a wnet stracisz liczbę mijających cię w tę i w drugą stronę *bidek*. Synowie Izraela niby skrzętne mrówki biegną, śpieszą, mijając się ledwie kilka słów wymienią w przelocie i jakby w tem zetknięciu nowej nabierali siły, energiczniej jeszcze zacinają galopujące pegazy.

Nie jest że to objawem życia? Wprawdzie przed rokiem, dziesięciu, po roku i po dziesięciu latach z takimże pośpiechem krążyły i krążyć będą żydowskie karyjalki, nie jest to więc inowacyją żadną ani postępem, nie-

mniej przeto śladem życia jest, wbrew świadectwu posępnej ciszy zdającej się panować tu wszędzie.

Krajobraz sam najlepiej charakteryzuje te strony. Kraj senny, czczy, wilgotny; nawet gdy się rozjaśni pogoda, tylko błękit niebios i—gra światła w obłokach, tchną weselszem szerokiem życiem, a na ziemi zawsze biednie i pusto że aż patrzeć tęskno.

Widoki tutejsze mają zapewne swój właściwy odcień poetyczny, odcień zadumy gorzkiej, bolesnego milczenia, bo takiemi właśnie uczuciami napełniają patrzącego na nie widza. Wioski biedne jednostajne o kilka mil od siebie odległe, a cerkiewka w każdej, lud zaniedbany nędzny choć zamożny, miasteczka odrażające, ludzie i ich domy wyglądają tu tak, jak gdyby życie było smutną koniecznością, której bądź co bądź ulegać potrzeba. Tyle przestrzeni, ziemi, lasu, wody! grunt ani klimat nie wydziedziczony przecież od natury; nie przyroda też to sprawia na człowieku smutne wrażenie, smutny tu jest brak śladów rozumnej pracowitej ręki człowieka, jego niemoc. A gdy jeszcze wspomnisz sobie że tu ongi żyło się szumno a buńczucznie—to ciężki żal za serce chwyta, żal za dawne grzechy. Mówić że tu o nich z rumieńcem upokorzenia? Lepiej pomroką okryć te czasy smutnej świetności.

Minął szereg lat twardych, czas by już oglądać czyny nowego życia, choćby ślady walki ducha z trudnościami położenia, walki dążącej do naprawy błędów. Nic, nic. Czyż nam nie ciężka nędzna dola ofiary, czyż nam się przyznać wypadnie do hańbiącej niemocy w niedołężnem bytowaniu, z oczami ospale zapatrzanemi w przeszłość? jak gdyby ta przeszłość niemówiła nic co by wzbudzić powinno skruchę i siłę do odkupienia niejednej winy, prawdziwą, dzielną pracą z całej duszy.

Kulturtregery nie kwapią się jeszcze w ten mniej dogodny zakątek, w drodze łaski tylko, a jeśli gdzie, to tu znajdują żywą ilustracyją do swych pojęć o sławianach, więc naigrywają się dowoli, a jeśli niemiecką wytrwałością i przemysłem pokażą że ziemia wszędzie daje złoty proszek gdzie tylko z nią praca się styka... to co? To nie pozostanie nam jak tylko z pochylonem w uznaniu czołem cofnąć się z dziurawym płaszczem ofiary na ramionach. Przyjdą, nie dadzą się długo prosić. Warto posłuchać co mówią cywilizacyjne forpoczty? „Wieśniak słowianin," mówią, „to jeszcze nie człowiek, to niedołężny jakiś indyjanin niby, tylko obrany z dodatnich instynktów dzikości, nieucywilizuje się on już — wyginie powoli; większy posiadacz, słowianin, to neutralny hidalgo, stworzony do używania tylko, żyje śmiesznym idealizmem, uważa pracę za anormalny stan swój, to indywiduum przeżytego, dogorywającego plemienia. Cieszcie się Sławianie, może wam się z czasem jakie okruchy z naszego stołu dostaną, my tu podamy rękę przedsiębierczym Semitom, pod naszą ręką ta ziemia dobrobytem zakwitnie."

Brak rąk, brak kapitału, brak siły, rzutu i czynnej energii, oto ujemne siły które ciągną i przyciągnąć muszą dodatni pod tym względem żywioł germański. *Muszą*, bolesne słowo, muszą jeśli zbawienne a mocne instytucyje nie wzbudzą miejscowego życia.

Większość myśląca o środkach wydźwignięcia się z niedoli tymczasowego wlokącego się ciężko stanu rzeczy, nie widzi nic innego nad oddanie w rękę pracowitego niemca części obszarów ziemi bezprodukcyjnie leżących, a czekających na spodziewany podatek gruntowy. Tym sposobem otrzymując kapitał spodziewają się zarazem znaleść zdolnego robotnika na pozostałą cząstkę majątku. Na pierwszy rzut oka, smutny to może środek ale przynajmniej dający jaką taką rękojmię możliwej przyszłości — w projekcie tylko na nieszczęście bo przy zastosowaniu go, zaraz rzecz sprowadza się na inną drogę. Gdyby to tak postanowił człowiek wiedzy i czynu, co po długich walkach poznał nareszcie że niepodoła przestrzeniom na których swe siły daremnie rozprasza a spodziewa się w mniejszym zakresie zyskać to na sile co na przestrzeni utracił, przy kapitale i wzroście produkcyjnej ludności wzniesie wartość gruntu, gospodarstwo, przemysł... byłoby się czem pocieszyć przynajmniej. Tacy właściciele wyjątkowo chyba znaleść się mogą, a jakąż nadzieję rokować można z będącą w mowie operacyi gdy przedsiębierze ją przypuśćmy nawet z najlepszemi chęciami zrujnowany panek, który z agronomii wie tylko tyle ile się od swego ekonoma niechcący nauczył, pracował tyle, ile między jednym a drugim wyjazdem za granicę, układał się o pożyczkę z brodatymi wierzycielami? Życie pojmuje on z kwiatowej jego strony i rad serdecznie że czas jakiś pobawi się niemieckiemi talarki. Nie przesądzajmy jednak, przypuśćmy że zrobił ustępstwo na korzyść swych dobrych chęci, osadził w *oczyszczonym* majątku człowieka umiejącego gospodarować; przypuśćmy więcej: zechce się bawić w postępowość, włoży część kapitału w majątek, wozy i pługi każe pomalować na niebiesko, zaprowadzi wszelkiego rodzaju kontrolę, buchalteryją podwójną, co mówię, sam po parę miesięcy w roku zechce osobiście *poświęcać się* w swych dobrach i czwórkę koni przeznaczy na przelatywanie z jednego folwarku na drugi ku bezmiernemu uznaniu bohaterstwa swego, przez żonę czekającą całe półgodziny nieraz z obiadem, nic to nie pomoże. Po paru latach owe ultra praktyczne firmy wpadną w nagotowane do ich przyjęcia ręce kulturtregerów, a w pobitym bohaterze zostanie głębokie przekonanie że dyjabła wart postęp, że w obec tych strasznych czasów wszystko upaść musi co nie jest zmateryjalizowane, lepiej było odrazu pozbyć się ciężkiej ziemi dla lżejszego kapitaliku. Pocieszmy się bracie, i tak i tak dzieci twoje poszłyby sobie w świat z elegancką laseczką, ot szczęście że przynajmniej pięknie mówią po francusku i posiadają eleganckie manijery.

Kolonizacyja w takich razach przewleka tylko sprzedaż majątku przez licytacyją, czarne fatum, grożące tu wszystkim prawie większym majątkom. Fatum to straszne, bo nie tylko w zewnętrznych warunkach bytu ale w usposobieniu samych właścicieli obrało sobie siedlisko, w ich nawyknieniach, nałogach i nie przedsiębierczości. Wady to nasze ogólne—tu radzić trudniej — a mniej się jeszcze radzi; oto przyczyna tak wielkiej różnicy jaką się znajduje przenosząc oczy z nadwiślańskich np. okolic na tutejsze okolice i tutejszy stan rzeczy.

Jednym z lepszych sposobów ratunku jest tu czynszowanie gruntów niemcami. Przybywają tu biedni po większej części osadnicy, w królestwie lub w poznańskiem zawiedzeni w swych nadziejach, ci dostają tu grunta nie użyte dotąd — podnoszą dochód i wartość ziemi — stanowiąc zarazem ludność przedsiębierczą i pracowitą z potrzeby, choć posiadającą wszystkie wady proletaryjatu. Zaznaczyć jednak wypada że ruch w tym względzie słaby jeszcze dosyć. Osiedlanie się podobne połączone jest z trudnościami leżącemi w samej ruchliwości przybywających tu po większej części z niczem czynszowników.

Jak stoją tutejsze gospodarstwa można łatwo pojąć, zważywszy że większa część majątków jest w rękach żydów dzierżawców; przemysł miejscowy (nie żydowski) od czasu do czasu objawia się w założeniu tu i owdzie jakiej niewielkiej fabryki, lecz ta niestety rychło zawsze upada przez swą niepraktyczność lub nie fachowość założycieli.

Na zakończenie wspomnę jeszcze o znanym już czytelnikom a wchodzącym w życie projekcie osuszenia błot pińskich. Ile wielka ta praca przyniesie pożytku przyszłość pokaże, są jednak miejscowi mieszkańcy którzy upatrują niepraktyczność w projekcie i teoretyczne przerachowanie się co do możliwych korzyści z osuszenia, zarzucając komisyi zaniechanie bliższych gruntownych badań co do natury osuszanych gruntów i świadectwa krajowców mogącego dać w tym względzie nie jednę wskazówkę.

T. Z.

ŚLADY ŻYCIA.

XIX.

Tyle życia, ile... w czynie.

Dawno już zamierzony projekt urządzenia osobnego zakładu dla obłąkanych i epileptycznych, obecnie przychodzi do skutku.

Projekt planów nowego budynku został już opracowany w ustanowionym na ten cel komitecie, pod przewodnictwem Rzeczywistego Radcy Stanu Ryżowa i przedstawiony na zatwierdzenie Władzy wyższej. Nowy ten zakład, pod każdym względem odpowie przeznaczeniu swojemu. Składać się on będzie z pawilonów jednopiętrowych, otoczonych zewsząd ogrodem.

Przy każdym pawilonie będzie pomieszczenie dla lekarza lub felczera. Wszystkie pawilony łączyć się będą ze środkowym gmachem, przeznaczonym dla służby administracyjnej. Przeszło 400 chorych obojga płci, znajdzie tu dogodne pomieszczenie. Dla zamożniejszej klasy, urządzone będą oddzielne pokoiki a dla biednych sale ogólne.

Nie zapomniano również o uprzyjemnieniu życia tych nieszczęśliwych i w tym celu mają być urządzone sale bilardowe, gimnastyka i inne zabawy, a oprócz tego kilka warsztatów lżejszych rzemiosł.

Nowy zakład ma się wznieść na gruntach nabytych od właściciela folwarku Kamionek za Pragą. Oczekujemy z niecierpliwością u-

skutecznienia tego zamiaru, gdyż istniejące dotąd u nas instytucyje nie odpowiadają w zupełności przeznaczeniu swemu i wymaganiom nauki.

Dnia 1-go Maja grono artystów muzycznych uczciło dwudziestopięcioletnią rocznicę działalności artystycznej b. Dyrektora swego p. Münchheimera odegraniem kilku kwartetów smyczkowych.

P. Münchheimer w ciągu całej swej działalności na polu muzyki, położył wielkie zasługi, nietylko jako artysta kompozytor i dyrektor ale również jako człowiek, niezmęczony w chętnem niesieniu swej pracy na ołtarz dobra ogólnego.

Nasze gminy wiejskie, czerpiąc spore źródło dochodu z kar pieniężnych, nie postarały się dotąd o prawdziwie pożyteczne ich zużytkowanie. Podług wykazów, kary te dochodziły gdzie niegdzie do 3,000 rs. W skutek zupełnej bezczynności tego kapitału, władza wyższa zmuszoną była przelewać go do kasy powiatowej. A o miejscowych potrzebach gminy nie myślano bynajmniej. W ostatnich jednakże czasach widzimy już pocieszającą w tym względzie inicyjatywę. W kilku gminach gubernii Lubelskiej, Warszawskiej i Łomżyńskiej utworzone zostały za zezwoleniem władzy wyższej *kasy zaliczkowe*. Widzimy więc, że zaczęto od rzeczy najpożyteczniejszej. Wiemy, w jak smutnym niekiedy stanie znajdują się rodziny włościańskie, które w razie nagłej potrzeby zmuszone są popaść w paszczę miejscowych pijawek izraelskich. Utworzone teraz instytucyje usuną tę smutną konieczność i rozwiną kredyt przystępny i nie rujnujący. Nie wątpimy, że i reszta gmin naszych pójdzie za przykładem tych, które najpierwej zrozumiały potrzeby swoje.

Linija kolei żelaznej z Olkusza do Dąbrowy została już zatwierdzoną. Roboty około jej budowy rozpoczną się w tym roku jeszcze. Każdy, kto zna miejscowe stosunki, potrzeby i bogactwa ekonomiczne, pojmuje ważne nader znaczenie tej linii.

Szanowny Panie Redaktorze!

W ostatnim numerze „Opiekuna Domowego" poruszono kwestyją Resursy Rzemieślniczej.

Ponieważ od pewnego czasu tą sprawą zainteresowała się prasa tutejsza, i bardzo często wzywa po swoich dziennikach przedstawicieli przemysłu i rzemiosł, aby się tą sprawą zajęli; przeto dla wyjaśnienia jej, mam honor upraszać o zamieszczenie tych słów kilku.

W ostatnich czasach, niektórzy tutejsi panowie Fabrykanci i Rzemieślnicy, tchnący prawdziwem poczuciem obywatelskiem, widząc smutny stan pod wielu względami naszych rzemiosł i rzemieślników, postanowili nie żałując ani swojego czasu, ani pieniędzy, zająć się wprowadzeniem wielu ulepszeń odpowiadających dzisiejszym warunkom życia i postępowi czasu. W tym celu wypracowane zostały projekta następujące:

1. *Banku Rzemieślniczo-Przemysłowego.* Zadaniem tej instytucyi miało być, przychodzenie z pomocą pieniężną pożyczek, bądź to na rozszerzenie warsztatów, bądź na zakupy odpowiednich maszyn, narzędzi, albo otwieranie nowych warsztatów. Przyjmowanie wniosków i drobnych oszczędności na procent tak od uczestników, jako i osób postronnych.
2. *Kasy Emerytalnej Rzemieślniczej*, wraz z wydziałem pomocy dla wdów i sierot po rzemieślnikach pozostałych. Instytucyja taka będąc wysokiego znaczenia dla klasy roboczej, miała mieć za zadanie zabezpieczyć starość każdemu jej uczestnikowi, dać utrzymanie kalece, pozbawionemu pracy przez nadzwyczajne wypadki wynikłe z obrażeń ciała, bądź przez maszyny lub ciężką chorobę nabyte; nareszcie dać stałą pomoc wdowom i sierotom pozostałym po zmarłych członkach, słowem wstrzymać w tej klasie szerzący się obecnie pauperyzm, wynikły z braku pomocy w wieku późniejszym, lub z kalectwa, a co ważna podnieść z ubóstwa wdowy i sieroty, pozostawione częstokroć po śmierci Ojca na pastwę nikczemnych kupczących niemoralnością.
3. *Szkoły Rzemiosł*, która miała być założoną na wzór istniejących obecnie w miastach Cesarstwa. Przez założenie takiej szkoły podniosłyby się rzemiosła przez większy napływ młodzieży więcej naukowo i moralnie przysposobionej, któraby dziś unikając przykrych terminów, woli czepiać się różnych innych zajęć byle-by nie terminować.
4. *Muzeum technicznego*, i na ostatek po:
5. *Resursy Rzemieślniczej*, której byłoby zadaniem dać klasie roboczej miejsce przyzwoite dla przepędzenia czasu w wolnych chwilach po pracy, urządzać zabawy i wszelkie umysłowe rozrywki, tak dla mężczyzn jako i kobiet; wyrywając takowych z brudnych i niemoralnych miejsc jakiemi są szynki, ogródki piwne, miodne, kawiarnie i t. p.

Otóż w tym celu wypracowane zostały odpowiednie statuta i przedstawione do zatwierdzenia gdzie należało, z czego widzimy, że ludzie przodujący tutejszym rzemiosłom i przemysłowi starali i starają się o wprowadzenie tego wszystkiego, coby tylko przyniosło tak moralną jako materyjalną korzyść naszym rzemieślnikom.

Z powyżej wykazanych 5-ciu Towarzystw, w miejsce proponowanego Banku rzemieślniczego, powstała przed 3 laty Kasa Przemysłowców Warszawskich, zaś inne z przyczyn niezależnych od założycieli dotąd wprowadzono nie zostały. A zatem nie należy posądzać o brak dobrych chęci, bo te zawsze się znajdą. Jeżeli zaś głównie chodzi o samą Resursę, to dobrze by było, aby obecna *Resursa Obytelska* dawniej zwana „Małą resursą" *którą kiedyś przeważnie założyli rzemieślnicy dla siebie i swoich subjektów*, chciała zrzucić pychę z serca i obniżywszy dzisiejszy wysoki wpis i składkę roczną, które tylko arystokratycznie figurują, ale nie arystokratycznie do kasy wpływają, zreformowawszy się pod względem gospodarstwa wewnętrznego i usunąwszy na bok wszelką pedanteryją naleciałą z różnych sfer nie warsztatowych, chciała dać pole do wejścia ludziom pracy, szukającym dla siebie i swoich rodzin porządniejszego miejsca do zabaw i rozrywek umysłowych. Bo i po cóż wreszcie tworzyć tyle klubów ile jest klas ludności?.. Resursa kupiecka niechże sobie trzyma swoje podwoje otwarte dla tych co dotąd brzydzą się jeszcze kwartą i łokciem, a lubią szampana i karty; „Harmonija" niech czyni przyjemność takim co lubią akcyje i obce języki—a resursa obywatelska (z dawniej *mała*) niech zrobi trochę miejsca i dla tych, co z ciężkiej rzemieślniczej utrzymują się pracy. Wszakże to są prawdziwi obywatele, którzy uczciwą produkcyją swoich wyrobów zwiększają bogactwo narodowe. Dla tego życzyć by należało, kiedy inaczej być nie może, aby nie tworzyć więcej, ale poprawić to co jest. Pięć różnorodnych klubów na tę ludność jaka jest obecnie w Warszawie, aż nadto wystarczy, trzeba tylko odrzucić na bok dawne uprzedzenia kastowe.

J. Juszczyk.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. *Cybulskiemu w Sejnach.* N-ra panu należne z kwartału I wysłaliśmy.

P. *Trabsza w Tambowie.* Nr. 13 powtórnie wysyłamy.
P. *Klejder w Czernihowie.* „ 8 „ „
P. *Łukaszewicz w Złotopolu.* „ 8 „ „
P. *Ejmunt w Sejnach.* „ 13 „ „

P. *Nowakowskiemu w Nowo-Aleksandrowsku.* Z wychowania Domowego przepisaliśmy panu na Opiekuna rs. 3 kop. 75, brak przeto kop. 25 do I półrocza. Z wychowanią zaś należyć się panu będzie jeszcze 5 tomów prócz otrzymanych 7.

P. *Jacuńskiemu w Sympferopolu.* Na kwartał II został tylko rs. 1 przysławszy więc jeszcze rs. 1 będzie opłacony cały kwartał II-gi.

P. *Rybickiemu w Radziwiłowie.* Na kwartał II zostało tylko rs. 1 przysławszy więc jeszcze rs. 1 będzic opłacony cały kwartał II-gi.

P. *Rakowskiemu w Dobużka.* Na kwartał II został tylko rs. 1 przysłać więc jeszcze należy rs. 1 a będzie opłacony cały kwartał II-gi.

P. *Oskierko w Muceżarach.* Na kwariał II został tylko rs. 1 przysławszy więc jeszcze rs. 1 będzie opłacony cały kwartał II-gi.

P. *Babiańskiemu w Tambowie.* Radakcyja Wiadomosci Farmaceutycznych nie przyjęła rs. 1 kop. 50 jako nie stanowiących rocznej opłaty, takowe przeto pozostają do pańskiej dyspozycyi—za 3 rubla zaś wysłała panu 1 eg. swego pisma z roku zeszłego.

P. *Niekrasz w Starym Oskole.* Opiekuna Domowego posyłamy od Nr. 13 t. j. za kw II. Nr. 11 i 12 nie był wysłany jako należący do kw. I. Zeszyt 3-ci *Journal de Medicine* wysłany w swym czasie, raczy pan upomnieć się o takowy, na stacyi pocztowej.

P. *P.—m Małogoszczu.* „Emancypowaną" przez pana zwróconą otrzymaliśmy — ponieważ powieść ta była przeznaczoną dla prenumeratorów Tr. IV do których pan należy. Dodatek ten był właściwie za miesiąc Wrzesien Październik i Listopad — obecnie z powodu wyczerpania wszelkich dodatków nic panu innego posłać nie możemy.

Дозволено Цензурою. Варшава 29 Апреля (11 Мая) 1875 г.- W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.